PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

Nr 6. **30. Marca.** **1875.**

Wychodzi z końcem każdego miesiąca.

BIÓRO REDAKCYI:
Mikołajska Nr 437 w Krakowie.

ADMINISTRACYA:
w księgarni A. Otremby nakładcy w Krakowie.

Cena przedpłaty:
Rocznie: 6. Złr. = 4. Rs. = 4. Tal. = 14. Fran.
Półrocznie: 3. „ = 2. „ = 2. „ = 7. „
Kwartalnie: 1. 50. „ = 1. „ = 1. „ = 3. 50. „
Pojedynczy Nr kosztuje 60 ct. = 35 kop. = 12 sgr. 1 Fr. 25 cent.
Ogłoszenia księgarskie przyjmuje Administracya po 6 ct. od wiersza.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ:
nakładca A. Otremba księgarz w Krakowie, oraz wszystkie większe księgarnie w kraju i za granicą.
W Warszawie skład główny w księgarni Ferdynand'a Hösicka. W Poznaniu I. K. Żupańskiego. — W Paryżu Librairie de Luxembourg.

Treść.

Filozofia.

Józef Kremer. Znaczenie Sylogistyki. Ustęp z dzieła w rękopiśmie „System Logiki“. Artykuł Biblioteki Warszawskiej. Zeszyt III. Tom I. Serya V. str. 374—394. 1875 r.

96] Ze skwapliwością wzięliśmy się do przeczytania powyższego artykułu: raz, że wyszedł z pod pióra nestora naszych filozofów; powtóre, że zapowiada w swym tytule roztrząśnięcie bardzo ważnej kwestyi logicznej. Do ogłoszenia naszego zdania skłonił nas oprócz tego jeszcze i ten wzgląd, że Kremer w artykule, o którym mowa, odstępuje od spekulacyjnej Logiki w duchu Hegla i przechodzi otwarcie na stronę idealnych realistów — fakt, który ze względu na tak ważnego przedstawiciela filozofii naszej, jakim jest Kr., dla nikogo obojętny być nie może.

Kr. postawił sobie za zadanie wykazać, że sylogistyka „może się stać nauką wielkiej wagi“ i że zatem zdanie głoszone „często w życiu potocznem, ze strony osób mniej świadomych rzeczy“, „jakoby sylogistyka w niczem się nie przyczyniała do poznania prawdy, a zatem jakoby ta nauka nie miała głębszego znaczenia w dziedzinie umiejętności poważnej“ (374), jest nieuzasadnione. Określenie to zadania zdaniem naszem nie jest dość wyczerpujące: Znaczenie sylogistyki nie jest bynajmniej tak pewną i niezbicie dowiedzioną rzeczą, żebyśmy przy roztrząsaniu tej kwestyi mogli ograniczyć się do polemiki z „ludźmi mniej świadomymi rzeczy“. Przeciwnie, dziś obrońca naukowej donioslości sylogistyki ma do czynienia z ludźmi bardzo świadomymi rzeczy i z nimi to walczyć powinien, jeśli cel swój chce osięgnąć. „Głosy, podnoszące się w życiu potocznem“ przeciwko sylogistyce, nie mają żadnego znaczenia w obec zarzutów, jakie jej czyni prawia cała filozofia angielska, a na jej czele Mill. Dziś znaczenie sylogistyki jest dla Logiki sprawą wewnętrzną a nie zewnętrzną, tak iż mniemania szerszego koła publiczności w tym względzie są rzeczą zupełnie obojętną albo bardzo podrzędną przynajmniej. Nie omija wprawdzie Kr. Milla, ale mówi o nim niejako nawiasem. Zdaniem Kr'a Mill dlatego nie uznaje ważności sylogizmu, że ma błędne pojęcie o sądach ogólnych, wydając je za wynik doświadczenia. „Całe rozumowanie Milla“ mówi Kr. „dlatego jest błędnem, iż on sądy ogólne uważa być skutkiem wyłącznie grubej empiryi, to jest rezultatem doświadczenia opartego na mnóstwie faktów jednostkowych; gdy przecież wiadomo, że sąd ogólny jako zasada ogólna, jako prawda ogólna jest głównie zdobyczą samego rozumu“ (387). Pozwalamy sobie wątpić, czy zdania filozofów o naturze sądów ogólnych są tak zgodne z sobą, ażeby można utrzymywać, iż „wiadomo“, że sądy te są wynikiem rozumu, i nie sądzimy, iżby określenie sądów ogólnych przez Kr'a jako wyników „głównie“ „samego“ rozumu, było zupełnie dokładnem. Do tego sprowadza się właściwie to, co Kremer w obronie tezy, iż teorya wniosków może być „niezbędnym środkiem do odkrycia prawdy“ (374), powiedział. W reszcie artykułu rozwodzi się Kr. dość obszernie o stosunku prawdy formalnej do materyalnej, o kryteryum poznania, zatrzymuje się nad logicznym dowodem istnienia Boga, nad stosunkiem filozofii do religii, rozbiera różne kierunki Logiki, a wreszcie kreśli krótki rys historyi Logiki. Ponieważ wszystkie te pytania nie przyczyniają się do rozjaśnienia znaczenia sylogistyki, przeto ogra-

niczamy się tylko do ich wyliczenia, aby czytelnik mógł powziąć wyobrażenie o treści artykułu. *G—g.*

Dr. **Albert Stoeckl** prof. zw. filozofii na Akademii w Eichsztecie. Logika z 2go popr. wyd. oryg. niem. przełożył Władysław Miłkowski. Kraków, nakł. wyd. dzieł katol. Dr. Wł. Miłkowskiego 1874. 8vo. Str. X. 207.

97] Dr. Albert Stoeckl jest jednym z najznakomitszych dziś przedstawicieli tak zwanego nowo-scholastycznego kierunku we filozofii. Znany uczonemu światu jako autor znakomitej historyi filozofii wieków średnich opracował prócz tego systematycznie wszystkie prawie działy filozofii. W rzędzie tych opracowań zajmuje pierwsze miejsce Logika, którą pan W. M. na język polski przełożył.

Dr. Stoeckl jest scholastykiem i Logika jego przeto obok wielu rzeczy przyjętych z nowszej filozofii posiada wszystkie wady i zalety logiki scholastycznej. Zalety polegają głównie na jasnem, dokładnem i bardzo nieraz subtelnem opisywaniu zewnętrznej strony myślenia, główną zaś wadą w zasadzie jest scholastyczne rozdzielenie treści od formy w myśleniu, a w metodzie brak głębszego wnikania w naturę myśli ludzkiej, brak psychologicznego gruntu, który sprawia, że autor najczęściej wygłaszanych przez się twierdzeń i robionych podziałów umiejętnie niczem nie uzasadnia.

Autor określa we wstępie Logikę jako „naukę o prawach naszego myślenia“ czyli nazywa ją także dokładniej „nauką o prawach na jakich się opiera prawda naszego myślenia“ (str. 1). Określenie to aczkolwiek trafne nie wyczerpuje jednak rzeczy. Logika jako pierwsza zasadnicza umiejętność filozoficzna jest nietylko nauką o prawach naszego myślenia, ale przedewszystkiem (jak tego zresztą sam autor wykładem swym dowodzi) nauką o pierwiastkach myślenia, a potem dopiero nauką o prawach i sposobach na jakich się opiera myślenie szczególnie systematyczne umiejętne myślenie i poznawanie prawdy. W określeniu więc Logiki musi być koniecznie wyrażonem, że ona przedewszystkiem zajmuje się badaniem istotnych właściwości pierwiastków myślenia i że na takiej dopiero podstawie dalej do wyłożenia sposobów prawidłowego myślenia i poznawania prawdy dochodzi, jest zatem Logika nauką o pierwiastkach i prawidłach myślenia i dochodzenia prawdy. Określenie w ten sposób uzupełnione ma i tę jeszcze dobrą stronę, że wskazuje również węzeł łączący Logikę z Psychologiją czyli nauką o duchowem życiu człowieka w ogólności.

Na str. pierwszej powiada autor dalej: „każda myśl ma swój przedmiot, który nazywamy jej treścią, ale z tym łączy się także pewien ściśle oznaczony sposób w jaki o tem przedmiocie myślimy i sposób ten nazywamy formą myśli.“ Ponieważ więc St. odróżnia zasadniczo treść myśli od jej formy, dzieli przeto i Logikę na dwie główne części tj. na naukę o formie myśli i o treści myśli na Logikę formalną i materyalną i mówi o dwojakiej prawdzie formalnej i materyalnej (str. 2). Mamy tu więc ten nieszczęśliwy podział myśli na treść i formę, podział który był nieunikniony i naturalny w Logice starożytnej i scholastycznej, ale który dzisiaj już wobec wyników do jakich nas badania psychologiczne doprowadziły i wobec stanowiska na jakiem filozofija stanąć jest zmuszoną na żaden sposób jako zasada utrzymać się nieda. Podział ten przeniesiony ze scholastyki do naszej i najnowszej filozofii niemieckiej, podzielił logików na dwa obozy, na zwolenników tak zwanej logiki formalnej, którzy utrzymują, że przedmiotem tej nauki jest tylko forma myśli i prawda formalna i na zwolenników logiki materyalnej, którzy znowu twierdzą, że Logika nie może wyłączyć ze swego zakresu badań nad treścią myśli i prawdą przedmiotową materyalną. Dr. Stoeckl przyjmując ten sam scholastyczny podział myśli na treść i formę, pragnie pogodzić zwaśnione obozy, uznaje tak formalną jak i materyalną Logikę i wedle tego dzieli całą naukę na dwie główne części. Tymczasem tak samo jak podział myśli wedle treści i formy powstał z niedokładnego poznania i z niedostatecznego wnikienia w naturę myśli ludzkiej, tak samo i podział Logiki na osobną formalną i osobną materyalną jest sztuczny i nie mający żadnej umiejętnej podstawy; pytamy bowiem jakim sposobem można zasadniczo odróżnić przedmiot myśli od sposobu myślenia go? Jeszcze nikt nigdy nie wyszedł z zakresu własnej myśli i nie uchwycił przedmiotu samego w sobie, tak więc zawsze już w samym przedmiocie, w samej treści myśli leży najściślej z nią jedną tworzący całość sposób myślenia przedmiotu. Jeżeli, jak nas poucza psychologija i prawdziwie umiejętna teorya poznawania, poznanie i posiadanie przedmiotu zupełnie niemożliwem jest niezależnie od naszej duchowej i fizycznej organizacyi, to możemy powiedzieć, iż sama już treść naszych myśli zależy od sposobu ich powstania i rozwoju. Niemożna więc dzielić sztucznie tego, co w rzeczywistości i w gruncie rzeczy nigdy nie jest podzielonem, gdyż podział taki robi niepodobnem umiejętne traktowanie myśli ludzkiej. Weźmy jakiekolwiek pojęcie, to zawsze treść jego musi nosić na sobie wszystkie cechy zależne od sposobów rozwijania się i działania myśli naszej, weźmy jakikolwiek wniosek, to w każdym formalnie dobrym na pozór, a materyalnie fałszywym, ukrywa się zawsze i formalny błąd. Jeżeli takiego błędu niema w następstwie i budowie premiss, to ukrywa on się z pewnością w jednej z nich i polega na formalnie nawet (jeżeli już chcemy rzecz tak nazwać) nieprawidłowem połączeniu pewnego orzeczenia z tym pewnym podmiotem. Niemasz więc chwilowej prawdy osobnej formalnej a materyalnej osobnej, prawda jest jedna a błąd materyalny ukrywa zawsze błąd formalny i na odwrót, dlatego też i Logika jest jedna jako nauka o właściwościach niepodzielnych w sobie pierwiastków myśli i o prawidłach myślenia, w stosunku i z związku z przedmiotem uważanego. Innego rodzaju istnieje podział Logiki odpowiadający dużo lepiej duchowe tej nauki, dzieli się ona bardzo materyalnie na naukę o pierwiastkach myślenia i poznawania (do tej części należy badanie wszystkich istotnych właściwości pojęć sądów i wniosków niezważając na to co owe wyrażają w szczegółach) i na naukę o sposobach i prawidłach systematycznego i umiejętnego myślenia i dochodzenia prawdy (Logika tz. elementarna czyli czysta i Logika zastosowana wraz z metodyką). Musimy tu jednak przyznać, że scholastyczne stanowisko naszego autora usprawiedliwia zupełnie przyjęty przez niego podział tak myśli jak i Logiki, fałszywość zaś tegoż dowodzi tylko, że stanowisko takie w Logice utrzymać się nie da już dzisiaj na żaden sposób.

Drugą zasadniczą wadą dzieła Dr. Stoeckla jest jak to już wspomnieliśmy brak psychologicznego grun-

tu i umiejętnej podstawy w twierdzeniach i podziałach. Kto się pragnie o tem przekonać, niech przejdzie naukę o pojęciu (str. 10—37) i naukę o sądach (głównie str. 40—48) a wszędzie znajdzie tylko z góry stawiane określenia i podziały niczem nieuzasadnione. Dla czego n p. pojęcia mają dzielić się na intuicyjne i oderwane, na istne i oderwane, na z doświadczenia i czysto umysłowe, na bezwzględne i względne, na wyraźnie i domyślne etc. tego autor ani słowem nietłomaczy i umiejętnie nie uzasadnia, przytacza tylko te podziały wraz z przykładami jakoby to były rzeczy tak naturalne, że nikt nawet spytać się nie może o ich przyczynę. Taki sposób postępowania tłomaczy nam także stanowisko scholastyczne autora opierające się głównie na powadze, aby zaś czytelnik nie myślał że takie tylko stanowisko filozoficzne może się zgodzić z religijnemi przekonaniami autora, to zwracamy tu uwagę na fakt, że istnieją i rozwijają we Francyi n. p. kierunki filozofii chrześciańskiej a nawet katolickiej, które stanowczo odrzucają stanowisko scholastyczne (Zob. w Revue politique et literaire No 35 i 36 r. 1875 Cours de M. L'Abbé Mérie: Une nouvelle phase de la philosophie catholique). Cóż poradzić, taka to już ta natura ludzka, że zawsze pyta dla czego, i w nauce niechce sobie nic dać narzucić z góry bez powodu.

Część pierwsza czyli Logika formalna dzieli się u Stoeckla na naukę o zawiązkach myślenia (takiego wyrazu używa tłómacz wyraz p i e r w i a s t k i wydaje nam się jednak właściwszym gdyż rzecz dokładniej określa: pojęcie n. p. nie jest zawiązkiem myślenia ale już myśleniem samem, jego elementem, częścią składową a więc pierwiastkiem) i metodykę. Bardzo jasno i dobrze wyłożoną jest scholastyczna nauka o zewnętrznej stronie wniosków, w metodyce zaś uwzględnia autor także nowe kierunki umiejętnych badań i n. p. metodzie indukcyjnej (str. 126—132) poświęca wiele trafnych uwag. W części drugiej czyli Logice materyalnej traktuje autor o stosunku myśli do przedmiotu, o źródłach poznania, sprawdzaniu prawdy i zasadzie pewności, wszystkim tym uwagom jednak zbywa na głębszym gruncie psychologicznym, nie uwzględnia n. p. całej nowej teoryi działania zmysłów, która rzec można rewolucyi ogromnej w nauce i we filozofii dokonała a która przecież istniała, już gdy St. Logikę swoją pisał. Trzeba było przynajmniej rozprawić się z nią.

O tłómaczeniu możemy w ogólności powiedzieć, że jest bardzo dobre. Słownictwo stare, które jak sam tłómacz powiada w znacznej części zawdzięcza takiej powadze na polu filozofii jak Prof. Dr. Józef Kremer, mało pozostawia do życzenia. Możebyśmy się na niektóre wyrazy jak n. p. już wspomniane „zawiązki“ jak „um“ to nie zgodzili ale są to więcej już rzeczy osobistego zapatrywania.

W ogólności przeto o książce Dr. St. możemy powiedzieć, że jakkolwiek niezgadzamy się ze stanowiskiem i podziałem, jego jakkolwiek metodę uważamy za niedostateczną, to jednak nie mogąc odmówić dziełu w opisuwaniu działań myśli ludzkiej i w wykładzie szczegółów Logiki pewnych zalet, uważamy je za pożyteczny a więcej jeszcze ciekawy nabytek dla ubogiej na tem polu literatury. *M. St.*

Pedagogia.

A u g u s t a J e s k e'g o: Systematyczny kurs nauk, przeznaczony do pomocy w wychowaniu domowem dla dzieci od 3 do 15 lat. Warszawa, nakładem Stan. Areta w Lublinie, 1873—1875. 10 tomików 4to i 8vo.

Kurs ten podzielono na *a)* peryod przedelementarny, *b)* peryod elementarny niższy i *c)* peryod elementarny wyższy. Z peryodu przedelementarnego wyszły dotychczas trzy książki, t. j. 1) R ó w n i a n k a czyli Z b i ó r p o w i a s t e k, a potem Ś w i a t i d z i e c i czyli N a u k a o r z e c z a c h, a mianowicie: 2) Część I.: N a j b l i ż s z y ś w i a t e k d z i e c k a. 3) Część II.: N a u k a o z w i e r z ę t a c h i r o ś l i n a c h.

Z peryodu elementarnego niższego wyszły dotychczas: 1) A B C czyli N a u k a c z y t a n i a i p i s a n i a. 2) W y p i s y p o l s k i e, S t o p i e ń I. 3) M a ł a s t y l i s t y k a, S t o p i e ń I. 4) M a ł a g r a m a t y k a j ę z y k a p o l s k i e g o. 5) A r y t m e t y c z k a. 6) A r y t m e t y k a. 7) G i e o g r a f i a.

Z peryodu elementarnego wyższego nic dotychczas, o ile nam wiadomo, nie wyszło z druku.

Pisma Warszawskie i niektóre Krakowskie wyraziły się bardzo przychylnie o systematycznym kursie nauk p. Jeske'go, mianowicie o książkach tego kursu, które dotychczas opuściły prasę. I my widzimy w nich wiele dobrego; ale jako pedagog z powołania innem na nie patrzymy okiem, niż owe pisma polityczne i literackie. Obok wielu dodatnych stron widzimy i ujemne, które tem otwarciej wskazać musimy, że książki te w bardzo szerokich rozchodzą się kołach, i że tak wytrawny i wyrozumiały pedagog jak p. Jeske, zechce zapewne z nich korzystać przy następnych wydaniach swych książek.

I. Zaczynamy od książek działu przedelementarnego.

98] Mają one zdaniem autora poprzedzać właściwą naukę czytania i pisania, a ponieważ już druga książka przeznaczona jest dla dzieci do 10 lat, więc nauka czytania i pisania w najlepszym razie dopiero w 10. roku dziecka rozpocząćby się musiała, na co w żaden sposób zgodzić się nie możemy. Zdaniem naszem peryod przedelementarny nie powinien sięgać po za 7. rok życia dziecięcego. Należy zaś w nim z nauki poglądu umieścić to, co dla wieku tego jest przystępnem, i co potrafi przysposobić dzieci stósownie do książkowej nauki; resztę zaś zostawić późniejszemu wiekowi, gdyż nauka poglądowa winna się ciągnąć przez wszystkie peryody elementarnej instrukcyi, czyli właściwie cała instrukcya elemtarna powinna być ile możności poglądową.

Co się tyczy samych książek, zarzucamy im najprzód w wielu miejscach zbyteczną szczegółowość i systematyczność, i tak n. p. podziały, opisy, definicye różnych części roślin za nadto trudne dla dzieci od 5 do 10 lat. Natomiast pominął autor wiele rzeczy potrzebnych: mówiąc tak wiele o niższych organizmach nie wspomniał nic o najwyższych reprezentantach świata zwierzęcego, o lwie, słoniu, wielorybie; pominął zupełnie tak ważne w gospodarstwie naszem konopie i len; w dziale o grzybach nie spotykamy się z rydzem, z truflami i t. p. To, co autor o grzybach jadodowitych mówi, nie wystarcza. Nie pojmujemy także, dla czego świat minerałów zupełnie pominięty.

Tu i owdzie spotykamy mylne twierdzenia n. p. „kuna jest pożyteczna, bo łowi krety.“ Niektóre pytania są bardzo niefortunne n. p. „Kto wyrabia(?) łapkę zajęczą i gęsie pióro?“

Pod względem wysłowienia zarzucamy autorowi tu

i owdzie giermanizmy i prowincyonalizmy a nawet błędy gramatyczne, — używanie bez potrzeby obcych wyrazów i dużych liter, — opuszczanie znaków przestankowych lub kładzenie ich nie na swojem miejscu, wreszcie niewłaściwe dzielenie słów i niejednostajność pisowni. Spisaliśmy dość znaczny poczet wszystkich tych błędów, które na żądanie autora przesłać możemy. Dla braku miejsca nie możemy ich tu umieścić.

II. Peryod elementarny niższy.

ABC czyli **Nauka czytania i pisania**, wyłożył metodycznie na podstawie nauki poglądowej A. J. (z drzeworytami podług rysunku Andriollego, wzorami rysunkowemi i kaligraficznemi). Str. IX i 178, 8vo.

99] Jak w poprzednich tak i w tej książce nie poszedł autor na polu elementarnego wychowania zupełnie nowemi tory, jakto dotychczasowi recenzenci jego orzekają; tory te wskazał był już dawno Pestalozzi, poszedł niemi nasz Estkowski, a za nim wszyscy późniejsi, tak że dziś niezna zapewne — przynajmniej w Poznańskiem i u nas w Galicyi — nauczyciela, któryby starą metodą sylabizowania do nauki czytania dochodził. Autor poszedł więc znanemi już tory i to nie najnowszemi; używa on tak zwanej metody wygłaszania, a więc metody, której się przed 15 laty u nas trzymano. Dziś metoda ta wypartą została inną racyonalniejszą, tak zwaną metodą doraźnego czytania, połączonego z nauką pisania, a raczej przez nią poprzedzanego. Autor używa także ruchomego abecadła, które dziś wcale niepotrzebne. Przeciw metodzie Jeske'go występuje Estkowski na str. 51 i 88.

Autor wychodzi od szkoły i zdąża do rodziny i domu. Czy to naturalny pochód? Wszak dziecko poznaje pierwej dom i rodzinę. Gdzież więc zasada: od znajomych rzeczy do nieznajomych?

Do poznania głosek używa autor często niestósownych przykładów. Zamiast wyrazów: a c h, e c h o, i s k r a, w i n o, s o c h a, c u g(!), g a z, s z a ł, k i z i a, g i e r m e k, g i o r t, G r a c y a n, K o r n e l i... użylibyśmy innych słów, wyrażających rzeczy, wszystkim dzieciom dobrze znajomych, nie potrzebujących długiego i mozolnego tłómaczenia n. p. i g ł a, u c h o, w o d a, g ę b a, o k o, m ą k a, c h a t a, P i o t r...

Autor wziął się do rysowania już w pierwszej lekcyi. Nie mielibyśmy nic przeciw temu, gdyby objaśnił wprzód w formie pogadanek tabliczkę, rysik, jego użycie, sposób trzymania go i siedzenia przy rysowaniu. Tego jednak nie uczynił. Na str. 6. rysuje k r e s y (dla czego nie k r e s k i?) pionowe i zaraz ukośne, pomijając łatwiejsze p o z i o m e, z któremi dziatwę dopiero na str. 17. zaznajamia. Autor rysuje nie wytłómaczywszy wprzód kierunków: lewy, prawy, dół, góra, środek i t. p.

Przy traktowaniu samogłosek pominięto pochylone *é, ó*, a przy nauce o spółgłoskach wszystkie tak zwane m i ę k k i e spółgłoski; dopiero na str. 63. czyta je dziecko naraz ni ztąd ni zowąd. Na str. 47. mówi autor, że praca z literkami winna być alfą i omegą od N. 1. do 26.; a czemuż nie 27. i 28.? Dla czego litera *K* od tej pracy jest wykluczona, jakby nie wchodziła w skład wyrazów naszej mowy?

Na str. 40. mylną jest definicya samogłoski jako głoski, która się s a m a(?) wymawia; a więc bez człowieka?

Niektóre rysunki są za trudne dla dzieci n. p. drzewko przy nagrobku, listki i t. p. Niektóre powtarzają się niepotrzebnie.

Pisanie na stopniu I. nie jest ułożone stopniowo: kółka i owale, choć najtrudniejsze, wyprzedzają nierównie łatwiejsze figurki, w których skład wchodzą same proste linie, aczkolwiek skombinowane. Stopień III. jest niezupełny, nie mieści bowiem wszystkich składowych części liter. Stopień IV. formuje literę *i* nieprawidłowo; zamiast kropki jakieś ogonki, niewłaściwe pismu polskiemu. Nadto tak przy *i* jak przy *u* kreska cienka powinna brać początek od dolnej czyli wierszowej linii. Litera *y* powinna mieć u góry w swej pierwszej części zaokrąglenie, bez którego nie ma formy pięknej. Litera *d* nie powinna być z owalem, podobnie litera *k*. Litera *j* za mocno wygięta i fałszywie cieniowana, bo na polu dolnej długości linii. Stopień VII. usuwa już dziecku linię górną wierszową, co — jak na I. klasę — uważamy za przedwczesne. Formacya litery *y* wcale nieudatna. Zresztą brak stopniowości, gdyż tak trudne formacye jak *D, E* poprzedzają łatwiejsze *I, U*. Opuszczono także litery *T* i *Ł*.

Te są główniejsze usterki elementarza pana Jeske'go. Wynika ztąd, że mylą się recenzenci Warszawscy, jakoby Elementarz ten był najlepszym i największej postępowym, jaki posiadamy. Lepszy jest Elementarz Seredyńskiego, przed 6 laty wydany we Lwowie, a jeszcze lepszy najnowszy Elementarz, wydany staraniem Galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej. Z tem wszystkiem nie odmawiamy Elementarzowi p. Jeske'go pewnej zasłużonej wartości, ale chcielibyśmy ją sprowadzić do właściwej miary.

Wypisy polskie. Stopień I. z „wstępem" podającym zasady i drogi, jakich się trzymać należy w wykładzie wypisów. Str. XVI i 210. 8vo.

100] Książka ta ma być zdaniem autora dalszym bezpośrednim ciągiem elementarza, a treścią jej ma być „stanowisko dziecka w obec tego, co je najbliżej otacza, tj. w obec Boga, rodziny, nauki, społeczeństwa; tłem zaś i celem pierwiastek moralny." „Umiejętności szczegółowe, mówi autor dalej, jak historya, gieografia, matematyka i nauki przyrodnicze kształcą człowieka r e a l n i e, wypisy kształcić go powinny i d e a l n i e i m o r a l n i e". Nie zgadzamy się z autorem, jakoby umiejętności tylko realnie człowieka kształcić miały; każda umiejętność, nawet matematyka, ma w sobie pełno elementów, które prawdziwy pedagog potrafi wydobyć i obrócić na moralną i idealną korzyść uczącej się młodzieży. Niestety mało mamy takich pedagogów; większa część dba jedynie albo przeważnie o owo, jak je autor nazywa, realne wykształcenie. I na to nie możemy się zgodzić, jakoby Wypisy tylko moralnie i idealnie kształcić miały. Mają one kształcić, jak każda nauka, w s z e c h s t r o n n i e, a więc intellektualnie, estetycznie, moralnie i religijnie.

Autor podaje w 9 artykułach zasady i drogi, jakich się trzymać należy w czytaniu i wykładzie książki. Zasady te i drogi nie są nowe. Znane one były dobrze Komisyi Edukacyjnej, a nowa pedagogika niemiecka rozwinęła je bardzo szczegółowo i dokładnie. Pan Jeske poszedł za niemieckiemi pedagogami, a mianowicie za K e h r e m i S c h l i m p a c h e m; o tyle jednak stoi od nich niżej, że kiedy tamci każdą zasadę rozwijają praktycznie na przykładach, on poprzestał w przedmowie na gołosłownych zasadach, nie wcie-

liwszy ich w praktykę. Dla tego korzyść z nich dla początkującego nauczyciela nie wielka. Zresztą i co do samych zasad i dróg nie wszędzie zgadzamy się z autorem. I tak „zagłębienie się w treści“ czyli rozbiór rzeczowy idzie u autora dopiero po czytaniu i opowiadaniu przeczytanego kawałka. Trudno przypuścić, aby dziecko potrafiło opowiedzieć należycie to, czego treść mu niezupełnie jasna. Naszem zdaniem rozbiór treści, tudzież objaśnienia słów i frazesów musi poprzedzać wszelkie opowiadanie. — Pytanie „coś czytał?“ do którego autor tyle przywiązuje wagi, jest za ogólne, i dla tego odpowiedź na nie dla dziecka, nie nawykłego jeszcze do obejmowania ogółu, zatrudna. Dziecko czepia się w pierwszym rzędzie szczegółów; od tych więc mają wychodzić pytania odnoszące się do treści. Za pomocą podobnych, w duchu sokratycznej czyli heurystycznej metody postawionych pytań, powinno dziecko przy pomocy nauczyciela zrekonstruować cały przeczytany i zrozumiany ustęp.

Co się tyczy samych Wypisów, dzieli je autor na ośm rozdziałów: Szkoła — Rodzina — Wieś, miasto, społeczeństwo — Ogród — Zwierzęta — Pola, łąki, lasy, wody — Świat — Bóg. Czy następstwo to ze wszech miar dobre, wątpimy. My przynajmniej położylibyśmy rodzinę przed szkołą, a ogród, pola... przed społeczeństwem.

Nie wszystkie kawałki przystępne są dla wieku, dla którego są przeznaczone, i to jest największą wadą książki. I tak ustęp 14 „o różnych naukach“ zawiera tyle rzeczy niezrozumiałych dzieciom, że trudno pojąć, jak pedagog tak wytrawny, jak p. Jeske, mógł go w tych wypisach umieścić. Cóż dopiero powiedzieć o ustępie 2. w rozdziale „Świat“ pod napisem człowiek? Ile zdań, tyle prawie rzeczy nieprzystępnych dla dzieci, a między niemi bardzo wiele fałszywych.

Niektóre ustępy zkądinąd niestósowne dla dzieci w tym wieku, jak n. p. ustęp 12. „Warszawa“ albo ustęp 31. „Klementyna z Tańskich Hofmanowa.“

Wysłowienie lepsze niż w poprzednich książkach, jednakowo nie zupełnie wolne od usterek. Na str. 2. znaleźliśmy bardzo rażący błąd drukarski: „rozum i mowa są (zamiast nie są) od razu doskonałe i zupełne.“ Zresztą nie mamy książce w tej mierze nic do zarzucenia.

Porównywając książkę tę z Wypisami, jakich używają obecnie w Galcyi w szkołach elementarnych, dajemy ostatnim bezwarunkowo pierwszeństwo przed książką p. Jeskego.

Mała stylistyka, zawierająca materyały i wskazówki metodyczne do pierwszych ćwiczeń stylistyczno-gramatycznych. Część I. dla dzieci, które po ukończeniu Elementarza przechodzą do Wypisów. Str. VI i 82, 8vo.

101] Na uwagi autora, zamieszczone w przedmowie, zgadzamy się zupełnie; piszemy się również w całości na to, co o połączeniu stylistyki z gramatyką mówi. Dobry jest także cały układ rozdziału I tej książki. Jednakowo musimy i tu podnieść, że nie jest to oryginalny pomysł autora; poszli tą drogą już dawno niemieccy pedagogowie w swoich Denk-und Redeübungen, a w Galicyi trzymamy się tej drogi od lat kilkunastu.

Rozdział II obejmuje z ćwiczeń stylistycznych opisy, listy z życia dziecinnego i powiastki. Autor nie wyczerpał tutaj wszystkich rodzajów, które posłużyć mogą i powinny do ćwiczeń stylistycznych na tym stopniu. Niektóre z listów są za trudne dla dzieci w tym wieku.

Rozdział III. obejmuje przenośnie, przysłowia, synonimy, homonimy i różnice w znaczeniu i pisaniu wyrazów. Zdaniem naszem nie należało tego w osobnym umieszczać rozdziale. Wszystko to bowiem w ciągu czytania i ćwiczeń gramatyczno-stylistycznych powinno być należycie uwzględnione, i nie pojmujemy ani czytania, ani cwiczeń stylistycznych, któreby na przenośnie, synonimy i t. p. rzeczy nie zwracały ciągle uwagi. Przysłowia zaś należą do Wypisów.

W ogólności uważamy książkę tę za dobrą i możemy ją śmiało polecić nauczycielom szkół elementarnych.

Mała gramatyka języka polskiego. Wydanie drugie, przerobione i pomnożone. Str. nb. 2 i 168, 8vo.

102] Autor poczyna w Rozdziale I. od zdania pojedynczego; ze zdania wyprowadza i objaśnia pojęcie różnych części mowy. Rozdział II. traktuje o głoskach i zgłoskach, a na tej podstawie o odmianach części mowy. Rozdział III. mówi o zdaniu złożonem, ściągniętem i o okresie. Rozdział IV. zajmuje się pisownią. Składnię przypadków, czasów i trybów pominął autor zupełnie. Nie wiedząc, dla jakiego wieku przeznaczona ta książka, nie możemy powiedzieć, czy pominięcie zupełne owych części mowy jest usprawiedliwione.

Na układ książki zgadzamy się zupełnie, ale przeprowadzenie nie wszędzie odpowiada naszemu zapatrywaniu. Wiemy dobrze, że nie wszystkie wypadki umiejętnych badań gramatycznych dadzą się umieścić w książce szkolnej, ale i tego nikt nie zaprzeczy, że żadna książka szkolna, nie powinna nic takiego zawierać, co się nie zgadza z prawdą. P. Jeske nie zawsze trzymał się tej zasady. Oto kilka przykładów: Str. 2. „Myśl składa się z pojęć czyli wrażeń duszy naszej.“ Mylne zidentyfikowanie pojęć i wrażeń, a do tego rzecz niezrozumiała dla dzieci. Str. 3. „Czasem może także jedno pojęcie stanowić myśl całkowitą.“ Nigdy! wszakże sam autor powiedział wyżej, że na myśl składają się przynajmniej dwa pojęcia. W przykładzie tutaj przytoczonym „szczęśliwyś“ jest wprawdzie jedno tylko słowo, ale dwa pojęcia: ty i szczęśliwy. Zresztą pojęcie a słowo to nie jedno i to samo; słowo jest znakiem pojęcia. — Czemuż nie powiedzieć zgodnie z psychologią i zrozumialej dla dzieci: zdanie jest to sąd o rzeczy, zamiast: „zdanie jest to myśl ustnie lub piśmiennie wyrażona.“ Wszak myśl może się składać z kilku zdań, a jednak nie przestaje być myślą. Z naszej definicyi jakże łatwo i naturalnie wypływa dla dzieci pojęcie podmiotu (rzeczy) i orzeczenia (sądu)! — Definicya wykrzyknika (str. 46) wcale mylna. Wyrazy miau, bęc... to nie wykrzykniki ale tak zwane onomatopoetica. — Stuk, stuk (str. 52) nie jest czasownikiem w postaci pierwiastka, ale takie onomatopoeticon. W wymawianiu głosek *dz, cz*... słychać nie jedno brzmienie ale więcej tj. *d+z, t+s+ch*...

Nie możemy się w żaden sposób zgodzić na podział deklinacyi według rodzajów rzeczowników. Taki podział nietylko nie jest umiejętny, ale nie równie trudniejszy dla dzieci, bo rodzący pełno wyjątków, niż

podział umiejętny według źródłosłowów. Lepiej nie dzielić wcale kongregacyi, niż przyjmować jakieś trzy działy, o których dowie się uczeń później, że są zupełnie fałszywe.

Zasada pisowni, jaką stawia autor: — „każdy wyraz ma być tak pisany, aby się nie zacierały ślady jego pochodzenia" — nie jest zasadą naszej pisowni, ale pisowni historycznej, jaką jest francuzka lub angielska. Zasada polskiej pisowni jest fonetyczna z pewnem tylko uwzględnieniem historyzmu. Gdyby zasada p. Jeske'go była zasadą naszej pisowni, musielibyśmy pisać: jedm a nawet jadm, dobra-jego i t.p. zamiast jem, dobrego, bo takie jest pochodzenie tych słów.

Pomimo tego wszystkiego, uważamy gramatykę P. Jeske'go za odpowiedną i godną polecenia. Dodajemy atoli, że owe Dodatki gramatyczne, które się znajdują w galicyjskiej 1. i 2. książce do czytania dla szkół elementarnych, stawiamy wyżej od gramatyki P. Jeske'go.

Rozbiór trzech pozostałych części "Systematycznego kursu nauk" p. Jeske'go podanym będzie w następnym numerze.

Historya.

Dr. Franciszek Piekosiński: Kodex dyplomatyczny katedry krakowskiej ś. Wacława. Część pierwsza, w Krakowie nakł. akad. um. 1874. Str. XLI, 375 i 11 tablic. 8vo.

Dr. Ksawery Liske: Akta grodzkie i ziemskie... z archiwum t. z. bernardyńskiego wydane staraniem galicyjskiego Wydziału krajowego, we Lwowie 1875. Tom V. Str. VI i 275. in 4to.

103] 104] Po epoce dość bezmyślnego u nas wydawnictwa źródeł historycznych nastały niedawno czasy, kiedy wydawcy nasi zaczynają z całą usilnością zastanawiać się i pracować nad obmyśleniem zasad, które ogłaszaniu pomników naszych dziejowych powinny przyświecać. Pomiędzy wydawcami ostatnimi wybitne stanowisko zajęli publikacyami swemi pp. Liske i Piekosiński. Kodexy dyplomatyczne, których tytuły podajemy na czele, odznaczają się też korzystnie nietylko swem opracowaniem, ale i wyrozumowaną samowiedzą, z jaką ich autorowie przystąpili do spełnienia swojego zadania. Zestawiając obie prace zamierzamy czytelników zapoznać z ich właściwościami a zarazem wyjaśnić różnice, jakie w zasadniczem pojmowaniu rzeczy pomiędzy niemi zachodzą.

Kodex p. Liskego zaczyna się niemal w tym punkcie, w którym praca p. Piekosińskiego się kończy. Ta ostatnia obejmuje dyplomata znajdujące się w archiwum kapitulnem krakowskiem od najdawniejszych z. r. 1166(?) aż do r. 1366, zawiera częścią ustawy kościelne w formie przywilejów wydane, częścią nadania biskupów i panujących i przeróżne akta prawne do dóbr i kościołów biskupstwa krakowskiego się odnoszące. Związek pomiędzy wszystkiemi aktami jest najściślejszy, a razem wzięte przedstawiają one niemal całość ówczesnych stosunków jednej z najważniejszych dzielnic kościoła polskiego. Dla historyi prawa polskiego jest to zbiór pierwszorzędny, dość wspomnieć, że sto ośmdziesiąt trzy dyplomatów wyprzedza ustawodawstwo Kaźmierza Wgo a reszta w liczbie czterdzieści ośmiu mu towarzyszy.

Co się tyczy kodexu p. Liskego wdzięczni jesteśmy niewątpliwie wydawcy, że zamiast ogłaszać błędne najczęściej kopie dyplomatów dla tego tylko, że w archiwum bernardyńskiem są oblatowane, gromadzi zewsząd oryginalne przywileje, na których nie brak i te nam ogłasza. Dlatego jednak samego, że oryginalnych przywilejów ilość jest nieskończona, mamy żal do wydawcy, że w nich i w tym i w poprzednich tomach wydawnictwa, którem kieruje, nie czyni wyboru i właściwego w nie nie wprowadza porządku. Mamy dyplomataryusze wielkopolskie, kujawskie, mazowieckie, pomorskie, małopolskie, pragnęlibyśmy żeby we Lwowie wychodził dyplomataryusz ruski, a tymczasem otrzymujemy tom za tomem zbiory dyplomatów, które z dawną geografią i historycznym rozwojem Polski się nierachują i stanowią chyba dyplomataryusz galicyjski; rzecz o tyle niewłaściwa, o ile błędem jest dawne stosunki w nowsze wtłaczać pojęcia i formy. Dyplomata w nim zawarte niestanowią całości, zamiast się uzupełniać i samem zestawieniem swojem wydobywać na jaw fakta dziejowe, one nawzajem sobie szkodzą i przeszkadzają. Wiele w takim dyplomataryuszu jest szczegółów nadzwyczaj ciekawych ale trzeba ich szukać i z innemi dyplomataryuszami mozolnie ich związku dochodzić.

Trudno powiedzieć krótkiemi słowy, co w Vtym tomie „aktów grodzkich i ziemskich" się mieści. Jest tam przedewszystkiem kilkanaście ustaw i przywilejów miasta Lwowa pierwszorzędnej wagi, ale poprzedzielanych innemi całkiem odrębnej natury. Dlaczego tom Vty nie miał samych przywilejów miasta Lwowa pomieścić? Jest kilkadziesiąt przywilejów i aktów prawnych do różnych miejscowości i osób ziemi ruskiej się odnoszących osobliwie z czasów Opolczyka, dla historyi i dla prawa lennego w Polsce ciekawych, ale jest także spora lubo rozrzucona wiązka podobnych, stosunkowo nawet mniej ważnych dyplomatów ziemi krakowskiej, którym tam na obczyznie okropnie ciasno i smutno! O większą jednolitość w doborze dyplomatów nieprzestaniemy też wołać.

Pod względem krytyki historyczno-prawniczej kodex kapitulny jako z najdawniejszych przywilejów złożony szersze pole wydawcy swemu otwierał. Stroną ta wydawnictwa p. Piekosińskiego zjedna mu wszędzie i zawsze zasłużone pochwały a liczne przypisy przezeń do dyplomatów dodane przypomniały nam żywo jedyne dotąd przypisy Helcla do pierwszego tomu kodexu polskiego. Część tych przypisów odnosi się do wyjaśnienia nazw miejscowości. Skrzętność i dokładność z jaką się p. P. z tego zadania wywiązał, ten tylko zdoła ocenić, kto wie z doświadczenia, jak dalece nazwy miejscowości w starych dyplomatach błędnie są przytaczane, jaka w nazwach tych w biegu wieków panuje zmienność i chwiejność i jak nawet z pomocą dokładnych map i spisów jest je trudno odszukać. Inne przypisy odnoszą się do sprostowania mylnych dat, do kwestyi autentyczności i wyjaśnień niektórych wątpliwości prawniczych. Zwracamy w tej mierze uwagę na przypiski na str. 1. 17. 23. 27. 33. 67. 77. 81 i dodatek.

Że praca tego rodzaju dzisiaj w obec szczupłej jeszcze ilości ogłoszonych dyplomatów i braku środków pomocniczych np. geografii historycznej i tabel urzędników nie jest tu i owdzie bez błędu (n. p. w dacie dokumentów Nr. 189 i 190), lub zawsze do niewątpliwych nie doprowadziła wyników (n. p. „Alba ecclesia" we-

dług posiadanego przez nas nie drukowanego przywileju jestto miasto „Czchów“, czego p. P. oznaczyć nieumiał), lub że się czasem wkradł błąd drukarski (n. p. na str. 256 rok 1345 zamiast 1354), są to rzeczy, które dziełu p. P. wcale nie ujmują wartości. Obszerne a nader ciekawe znajdujemy w przypisach rozprawki o monecie (grzywnach), o dziesiętnikach i o statutum generale (str. 255).

W okazaniu nieautentyczności przywileju p. P. trzyma się zasady, że raczej należy możliwe wątpliwości i sprzeczności wyjaśnić, niż dlatego, że się ich wytłomaczyć odrazu nie umie, posądzać same dokumenta o nieautentyczność. Zato, my przynajmniej, jesteśmy mu wdzięczni. Niebezpieczną bowiem zdaje nam się droga, ażeby przywileje n. p. na tej jedynej podstawie odsądzać od autentyczności, że stylizacya ich wydaje się nowszą niż data, lub późniejszemi stosunki prawne w dyplomatach tych wspominane. Winszowalibyśmy sobie człowieka, któryby rozwój prawa polskiego znał tak dokładnie, żeby mógł wskazać, że ten a ten stosunek prawny powstał w tym a tym czasie a pierw był z pewnością nieznanym. Sądzimy jednak, że nadzisiaj jest to niepodobieństwem, a przykład podobnej krytyki dany przez p. Kętrzyńskiego w rozprawie o dyplomatach tynieckich powinienby każdego od tej krytyki odstraszyć. Żaden znawca polskiego prawa na tę drogę się z pewnością nie puści. Tożsamo powiedzielibyśmy o krytyce na drobnych wyrażeniach stylistycznych się opierającej, dopóki dyplomatyka nasza nie będzie szczegółowo zbadaną. Pokutuje n.p. u nas mniemanie, że dokument dawniejszy, w którym się zagrożenie gniewem bożym, lub karami kościelnemi znajduje, temsamem jest podrobionym. Ależ w takim razie musielibyśmy wiele najautentyczniejszych przywilejów uznać za podrobione n.p. przywilej lokacyjny Krakowski z r. 1257. Wolimy więc w tym kierunku roztropną ostrożność.

Dokumenta ogłoszone przez p. Liskego jako późniejsze do wyjaśnień krytycznych mniejsze dawały pole, winniśmy jednak oddać sprawiedliwość wydawcy, że się z zadania swego sumiennie wywiązał, i oprócz drobnych usterków, (n. p. niedokładnego wydrukowania dokumentu Nr. 1, w którym oprócz drobniejszych rzeczy znany powszechnie Kasztelan Krak. „Navogius“ nazwany jest „Manogiusem“, lub nazwania Zawiszy z Kowali „Czanszą“ w dok. Nr. 3., lub przypisku na str. 21 wskazującego na wieś Rożnowa? kiedy zamek Rożnów gniazdo sławnej rodziny przytoczony jest kilkadziesiąt razy w zapiskach Helcla a opisany i rysowany przez Łuszczkiewicza — lub niedokładnego opisu nieznanej dotąd pieczęci Jadwigi w przypisku na str. 26), do zarzutów szerszej natury niedaje powodu.

Pod względem zasad wydawnictwa, wydawcy, jak to wyżej już powiedzieliśmy, zupełnie się rozchodzą.

Pan L. modernizuje poczęści pisownię (w zmianie dużych, wiązanych podwójnych i kaligraficznie przeciąganych liter) a zupełnie interpunkcyę; p. P. zatrzymuje interpunkcyę oraz z małemi wyjątkami pisownię oryginałów, jeden i drugi z przekonaniem o wyższości swojej metody. Nie tu miejsce kwestyę dotychczas wielce sporną rozstrzygać, chociaż osobiście jedynie metodę p. P. za właściwą z wielu gdzieindziej już wyłuszczonych względów poczytujemy. Zwrócimy jednak uwagę na pewne u obu wydawców z ich stanowiska spostrzedz się dające niekonsekwencye. Pan P. zatrzymując dawną interpunkcyę powinien był zdaniem naszem przedstawić ją wyraziściej a zatem 1) robić różnicę pomiędzy literami wielkiemi stojącemi wśród textu a jeszcze większemi, od których często się zaczynają ustępy. 2) uwydatnić w druku szersze przestanki pomiędzy okresami, gdzie się takowe znajdują. 3) uważać więcej na różnicę pomiędzy znakami pisarskiemi wśród okresu a na końcu okresu, która to różnica z rzadkim wyjątkiem we wszystkich oryginałach jest widoczną, i znaki w środku okresu przedstawiać w druku nie punktem lecz przecinkiem, do jakiego oko nasze przywykło, zaś na końcu okresu kłaść punkt lub linijkę podłużną, którą widzimy w oryginałach a którą p. P. zastąpił przecinkiem. Niekonsekwencye kodexu p. Liskego polegają na tem, że 1) drukując dyplomata językiem staroniemieckim pisane nietrzyma się wydawca zasad, których broni i które przeprowadza w dyplomatach łacińskich — dlaczego?... 2) zaprowadzając interpunkcyę nową niewyrobił sobie stałych zasad tej interpunkcyi. Po słowach „significamus universis“ spotykamy się n. p. naprzemian z przecinkiem i dwukropkiem. Od imiesłowu „Dantes“ lub „Conferentes“ raz zaczyna się nowe zdanie (jak należy) n. p. str. 11, drugi raz nie. Tak samo rzecz się ma z „Nisi“, które w stylistyce średniowiecznej wbrew dzisiejszym gramatycznym pojęciom stoi na początku nowego okresu i nowego prawnego postanowienia.

Należałoby również, czego oba wydawcy nie czynią, drukując przywileje składające się z wielu paragrafów, numerować te paragrafy i w oddzielnych je ustępach drukować. Ułatwia to późniejsze cytaty i zrozumienie rzeczy. W oryginałach paragrafy te zwykle jeżli nie dużą literą i interpunkcyą, to słowem „Item,“ które za znak pisarski uważać należy, są oddzielone. Nie tworzono osobnych ustępów bojąc się falsyfikacyi miejsc próżno pozostawionych. Ale w kopiach spółczesnych często już odstępy takie spostrzedz się dają.

Mamy jednak ważniejszy zarzut obu wydawcom do uczynienia Żaden z nich nie dopełnił swego zadania pod względem ścisłej restytucyi zepsutego i nawet w oryginałach nieraz błędnego textu całkowicie. Pan P. drukując wiernie oryginały, powinien był w przypiskach miejsca zepsute w brzmieniu poprawnem wydrukować, p. L. modernizując, powinien był w przypiskach przedrukować z oryginałów z całą ścisłością interpunkcyi ustępy, które mogą nasunąć wątpliwość i innego pojęcia textu dopuszczać. W skutek niedopełnienia tego warunku ze strony wydawców istnieje w kodexie p. P. wiele ustępów, przy których wydawca co najwięcej znak sic położył a nad którenii każdy czytelnik z osobna musi sobie głowę łamać, w kodexie zaś p. L. istnieje niemała również liczba miejsc, w których niezadawalniając się kodexem pragnęlibyśmy dla interpunkcyi zajrzeć do oryginałów, co się zadaniu kodexu dyplomatycznego zasadniczo sprzeciwia.

Niemożemy też darować p. L., że znalazłszy oryginał! przywileju Jedlneńskiego z r. 1433 niewydrukował go z całą dyplomatyczną ścisłością, lecz tylko podał z niego waryanty, z textem Baudtkego go porównywając. A przecież w przywileju takiej wagi nie tylko ważną rzeczą jest rozkład okresów czyli parafów, ale każdy znak pisarski nabiera znaczenia.

Pozostaje nam jeszcze rzucić okiem na indexa, które tak ważną część każdego kodexu dyplomatycznego

stanowią. Pan P. daje nam ich nieliczące indexu rzeczonego trzy: wykaz osób, wykaz miejscowości i wykaz książąt i dostojników. Pan L. wszystkie trzy powyższe wykazy łączy w jeden, zdaniem naszem słusznie, bo wzgląd wygody za tem zupełnie przemawia. Pragnęlibyśmy jednak, żeby w wydawnictwie aktów bernardyńskich indexa drukowano drukiem ścisłym, bo to przegląd ogromnie ułatwia, kiedy dotychczas indexa te ku znużeniu szukającego drukowane są prawdziwie olbrzymiemi czcionkami. W indexach p. P. podnosimy jako wadę mięszanie języka polskiego z łacińskim, który to ostatni powinienby wyłącznie panować.

Pan P. podał nam w końcu rodzaj indexu rzeczowego — przedsiewzięcie to witamy z radością, chociaż powiedzieć musimy, że wykonanie go stanowi najsłabszą stronę w jego tak zresztą wybornej pracy. Index ten bowiem tylko niektóre przedmioty i nie wszędzie dokładnie uwzględnia. Nierozumimy też n. p. co znaczy: Homicidia 43. 53. 55. 76. etc, co znaczy to etc? Wolimy jednak index chociażby taki jak żaden i cieszymy się zapowiedzią p. L., że w dalszych tomach aktów bernardyńskich mogą się zjawić podobne rzeczowe indexy. Powtarzamy tu przekonanie nasze gdzieindziej wypowiedziane, że bez dobrych indexów rzeczowych kodexy nasze dyplomatyczne nie staną na równi z zagranicznemi i całego swego zadania nie spełnią.

M. B.

Rolnictwo.

H. Settegast: Nauka żywienia domowych zwierząt gospodarskich. Z niemieckiego przełożył Ludwik Bogucki. Z 27 drzeworytami. Warszawa. Nakład spółki wydawniczej księgarzy. 1874 r. Str. 373. 8vo.

105] Jest to dziełko popularne, choć autor nie chce go mieć za takie, dla praktycznego rolnika polecenia godne, szczególnie w drugiej części, w której wiele spostrzeżeń i recept dla siebie znajdzie.

Pierwsza część traktuje przedmiot teoretycznie na 163 strnicach z których zaledwie połowa zasługuje na uwagę, reszta jest grą słów ładnie dobranych i dotyka zaledwie fizyologii. Z całości dzieła widać, że autor umiał pozbierać skrzętnie fakta przez ludzi fachowych spostrzeżone, sam jednak słabym być musi w teoryi a chcąc wynagrodzić niedostateczność fizyologicznych wywodów przeciąga przedmiot z praktycznej strony, co zresztą dla ogółu naszych rolników nie jest bez wartości.

Zapatrywanie się autora ze strony zanadto praktycznej przyprowadziło go w niektórych miejscach do błędnych wniosków. I tak odstępuje od zasady przyjętej przez wszystkich autorów pod względem normy pasz dla wszystkich bezwzględu koni i dla cieląt do 10go tygodnia ich życia, i oblicza racye dzienne na sztukę nie zaś na odpowiednią wagę żywą zwierzęcia, zaniedbując przytem zupełnie podania stosunku części pożywnych w paszy tej zawartego. Druga część opisująca „środki karmowe“ w szczególności i ich stosowność dla zwierząt domowych gospodarskich, przechodzi poszczególe wszystkie ważniejsze pokarmy zwierzęce, przyrządzanie paszy, zadawanie jej, a ta stroma dokładnie przedstawiona, dla praktyków nader ważna, stanowi główną zasługę autora. Błąd jednak wspomniony i tu autor często powtarza, obliczając na sztukę już i owcom przeznaczony pokarm.

Pan Bogucki z tłómaczenia wywiązał się nieźle, zamieścił przy tem kilka dopisków bliżej objaśniających niektóre wyrażenia autora. Do ustępu o tuczeniu dołączył podział rzeźniczy wołu dla Warszawy a nadto na końcu porównanie miar, wag i pieniędzy ważniejszych krajów.

Z. R.

Matematyka i fizyka.

Prof. Dr. Gustaw Piotrowski: O chyżości rozchodzenia się światła w solach. Pamiętnik Akad. Umiej. w Krakowie. Wydział mat. Przyrod. T. I. str. 152—189 4to. 1874.

106] Ażeby ocenić pracę prof. Piotrowskiego musimy rozróżnić materyał w niej zawarty.

Prof. P. w rozprawie swej:

1) podaje współczynniki załamania dla rozmaitych soli, które za pomocą dokładnego bardzo przyrządu z całą możliwą troskliwością sam powyznaczał;

2) wyprowadza nowy sposób obliczania współczynników załamania dla związków chemicznych ze znanych współczynników załamania i ciężarów gatunkowych składników;

i 3) uzasadnia wyprowadzone prawa za pomocą teoretycznych wywodów opartych na nowych przyjętych przez siebie hipotezach.

Stosownie do tych trzech niejako działów zawartych w rozprawie prof. P. różną jest wartość naukowa tej pracy.

Nieulega wątpliwości, że autor przez wyznaczenie współczynników załamania dla różnych rozczynów soli z uwzględnieniem temperatury i ciężarów gatunkowych, zgromadził bogaty zasób liczb, bardzo przydatnych w rozlicznych badaniach fizycznych. Z materyału przez autora zebranego mogą korzystać inni fizycy, i już tem samem autor ma niezaprzeczone prawo do powszechnego uznania. Autor jednak nie poprzestał na podaniu wypadków ze swych doświadczeń, ale sam stara się z nich wyprowadzić ogólniejsze prawa i teoretyczne wnioski.

I tak autor oznaczając przez s ciężar gatunkowy, przez a współczynnik właściwy załamania światła, oblicza dla badanych ciał pewną ilość O podług wzoru następnego:

$$O = \frac{\left(\frac{s}{a^2-1}\right)^{3/2}}{0\cdot2593212}$$

Znając dla jakiegokolwiek ciała a i s za pomocą powyższego wzoru można obliczyć O, i odwrotnie znając O i s można obliczyć a. Otóż prof. P. powyznaczał O dla 36 pierwiastków chemicznych i wykrył prawa, podług jakich tę ilość O obliczać trzeba dla związków chemicznych (str. 176 i 177).

Sposób podany przez autora dla obliczania ilości O dla różnych związków chemicznych, a następnie wyznaczanie dla tychże związków współczynników załamania światła jest w rzeczy samej bardzo prosty i dogodny. Jeżeli jednak zwrócimy uwagę na liczne zachodzące od ogólnych praw wyjątki (np. chloran potasowy, azotan potasowy, półtorawęglan sodowy, chroman potasowy i t. d.) nie dające się przewidzieć i niczem usprawiedliwić, to zmuszeni jesteśmy znacznie zmniejszyć wartość i doniosłość praw podanych przez autora, jako w praktyce mogących być użytecznemi jedy-

nie tylko w szczególnych przypadkach. Autor dalej stara się wykryć teoretyczne znaczenie ilości O (str. 174 i 175).

Autor wychodzi z ogólnie przyjętego przypuszczenia, że a^2-1 jest gęstością nadmiaru eteru zgromadzonego koło drobin ciała. Wyprowadza ztąd gęstość pośrednią nadmiaru eteru w solach pod warunkiem, że w równej przestrzeni mieści się równa ilość drobin, i tym sposobem wyznacza gęstość eteru odpowiadającego jednej drobinie.

Następnie autor przypuszczając, że nadmiar zgęszczonego eteru około drobiny jest proporcyjonalną do ciężaru drobinowego, znajduje, że objętość pośrednia nadmiaru eteru jest

$$W = \frac{s}{a^2-1}$$

Dotąd możemy zgodzić się na te wywody autora, ale nie dalej. Prof. P. bowiem przyjmując jeszcze dwie hipotezy nowe, że pośrednia wysokość atmosfery nadmiaru eteru jest równa dla wszystkich drobin, i że drobiny wszystkich soli mają jednaki kształt utrzymuje, że w takim razie

$$W^{3/2} = O$$

wyraża stosunkową objętość drobin.

Otóż najprzód musimy wrócić tu uwagę autora, że z pomienionych hipotez jeszcze wcale nie wynika, żeby $W^{3/2}$ było stosunkową objętością drobiny. Przyjmując np. że drobiny są kształtu kulistego, i oznaczając przez r promień drobiny, a przez h wysokość pośrednią nadmiaru eteru, znajdziemy że

$$W = \tfrac{4}{3}\pi\,(3r^2h + 3rh^2 + h^3)$$
$$\text{a } O = \tfrac{4}{3}\pi\,r^3.$$

Związek więc zachodzący między W i O będzie zupełnie innego rodzaju.

Jeżeli $W^{3/2}$ ma wyrażać stosunkową objętość drobiny, to trzebaby do hipotez przyjętych przez autora dołączyć jeszcze jedną, a mianowicie że h względem r jest nieskończenie małe, czyli że wysokość pośrednia atmosfery eteru około drobin nie tylko jest jednaką dla wszystkich ciał, ale że nadto jest nieskończenie małą względem wymiarów drobiny. Ta dodatkowa hipoteza prowadziłaby jednak do wniosku, że gęstość eteru zgęszczonego przez drobiny jest nieskończenie wielką; co znowuż jest niemożebnem. Tak więc nie możemy się zgodzić z autorem, żeby $W^{3/2} = O$ wyrażało objętość drobin, i całą teoryję autora musimy uważać za niedostatecznie uzasadnioną. Hipotezy stawiane przez prof. P. być może, że mogłyby niejedno wyjaśnić, ale za to z drugiej strony wiele innych zjawisk czyniłyby niepodobnemi prawie do wytłómaczenia n. p. gdyby wszystkie drobiny miały jednaki kształt, jak możnaby zrozumieć krystalizacyję, polaryzacyję światła, podwójne załamanie i t. d.? Każda hipoteza o tyle tylko jest uprawnioną w nauce, o ile zmniejsza liczbę niewyjaśnionych zjawisk. Hipoteza, która tłómaczy pojedyńczy szereg zjawisk, a natomiast niweczy istniejące tłómaczenia dla kilku innych rodzajów zjawisk, nie może się ostać w obec nowoczesnych wymagań nauki.

Pod względem formy, w jakiej ujęta jest rozprawa prof. P. dałoby się niejedno powiedzieć, dla naukowej rozprawy niepoprawna zewnętrzna forma nie może jednak stanowić zbyt ważnego zarzutu, i dla tego poprzestajemy jedynie na wzmiance, że autor nie starał się widocznie ani o poprawność języka, ani o przejrzystość swych myśli.

Pomimo tych zarzutów, które ośmieliliśmy się uczynić rozprawie prof. P., przyznajemy chętnie, że cała rozprawa nosi na sobie piętno ściśle naukowe. Autor uwzględnia wszystkie najnowsze nawet prace z obcej literatury, i z bystrością sobie właściwą niejednokrotnie podaje ciekawe nowe wnioski i myśli. Z tych powodów rozprawę prof. P. uważamy w każdym razie za cenny nabytek dla naukowej literatury polskiej.

E. S.

Nauki przyrodnicze.

Hr. Maryan Czapski: Historya powszechna Konia. Tomów 3 Poznań, nakładem księgarni S. K. Żupańskiego 1874. T. I, str. 430. — T. II, str. 535. — T. III, str. 263.

107]. Autor obdarzył literaturę naszą 3ch tomowem dziełem o 1228iu stronnicach w wielkim 8o, a wydawca nie żałował wydatków i starania, żeby je w świat godnie wyprawić. Na pięknym chińskim papierze; świeżemi czcionkami dzieło to ozdobnie i starannie odbite. Spis rzeczy dokładnie przy kazdym tomie opracowany, ułatwia obejrzenie tych części dzieła, do których czytelnikowi — wiem to z doświadczenia — nawrócić wypadnie. Atlas rycin na okładce tomu 3o ogłoszony, uzupełni to dzieło niezwykłej typograficznej piękności.

Nazwawszy tę obszerną tę pracę historyą powszechną konia sięga autor do geologicznych dokumentów w warstwach ziemi złożonych i ród konia dzisiejszego wywodzi od „equus fossilis,“ który w osadach 4tej formacyi zaginął. Dzieje konia doprowadza w tomie I. do końca 16o wieku. W tomie II. od strony 13tej zajmuje go jeno koń polski; a w tomie IIIcim od strony 55tej koń dzisiejszego państwa rosyjskiego w rozlicznych rasach i typach swoich.

Rozebrać to obszerne dzieło krytycznie, nie łatwa to sprawa. Sobie, czytelnikowi i temu, który to dzieło ocenić podejmuje sie, postawił autor tytułem dzieła, a przeto i formą wykładu, do której naginać się musiał, nie małe trudności. Skromniejsza nazwa z obszernym wstępem byłaby autora uczyniła swobodniejszym. Opowiadałby przeszłość i teraźniejsze dzieje konia z prostotą, wedle bogactwa zebranego materyału, wedle miejscowości, ras lub typów, bez przerwy, bez mozołu. Nie nużyłby siebie, nie rozrywałby uwagi czytelnika przerwami wedle wieków i opisami zdarzeń czasu; stało się jednak inaczej.

Miejsce konia w królestwie zwierząt i geologiczną przeszłość jego obrobił hr. Czapski widocznie wedle głośnej teoryi autora „o początku rodzajów.“ Pierwsze domyśli na pierwszej stronie dzieła już tego jasno wodzą. A teorya ta wiedzie p. C. po swej pochyłości ku temu, że wedle niego, człowiek kopalny, znaleziony w osadach czwartej formacyi, które i konia kopalnego mieszczą „niewiele się zapewne różnił od zmyślnej, „godnej Dębomałpy Fontana“ (str. 18a) i że „niedale„kiem od prawdy być może przekonanie, że ta z małp „już na człowieka zasługuje miano, która pierwsza na „grzbiecie jednokopytowego hasała po świecie zwierzę„cia“ (str. 48)!!

Z Zendawestą w ręku poczyna autor w dalszej wędrówce zajmujący pochód, wiedzie do Iranu, do mniemanej kolebki rodu ludzkiego, gdzie już i koń

domowym towarzyszem Aryjczyka. Chińczycy, Egypcyanie i Semici opuścili już dawniej te strony, a nie uchodzą w hippice uwagi autora. Z Aryjczykami, z powodu miejscowego potopu przechodzi do Europy i koń-towarzysz. Autor nie pomija śladów konia w piśmie świętem, w okolicach Arabii, u Fenicyan, kreśli dzieje jego w Grecyi i u Rzymian, z którymi dzieje konia okrążają zachodnią Europę, Iberyę, Gallię aż do Brytanii. Tu już i koń teutoński występuje na widownię. Dalej mówi o koniu wschodnim, już w dzisiejszem pojęciu rasy. Koń Armorykański, na wilgotnych a obfitych pastwiskach nadbrzeży północnej Francyi, Holandyi, Danii, Niemiec, a stąd i na Pomorzu, w ogromne kształty i mięśnie, kosztem żywości i dzielności rozrosły, dostaje się i do Anglii, gdzie go do dziśdnia w olbrzymach Arveland i Suffolk widzimy. Koń tatarsko-mongolski po koniec 16o wieku i koń środkowej Europy zakończa bogaty zasób tomu Igo, który czytelnika żywo zajmuje.

Tom IIgi niemal cały opowiada o koniu polskim. Tu już nikt przed autorem nie ułatwił mu pracy, żadnego krytycznie obrobionego nie zastał on materyału; pobłażać więc wypada brakowi naukowej ścisłości, zmienności stylu, nużącej nieraz polemice i nagromadzeniu przyciężkiego tu i owdzie balastu. Za to rzecz swoja, mnogością szczegółów bogata zaciekawia. Są tu i owdzie zboczenia, które autor w dalszej pracy sam niejako łagodzi: Na str. 31 i 32 podnosi, że rolnictwo było u nas „wyłącznem osad cudzoziemskich „zajęciem“ i że „większa część wiosek polskich zajmowała się głó- „wnie pasterstwem, chowem koni, rybołowstwem i my- „śliwstwem.“ Na to zgodzić się trudno. Wymienione nazwy: Koniny, Kobylniki, Koniuchy i t. p., inne miały dziejowo-społeczne znaczenie (patrz Chrobacya, rozbiór starożytności słowiańskich T. Wojciechowskiego Kraków 1873.) Wie każdy, że około połowy 13go wieku najazdy, mianowicie tatarskie, pożoga i jasyr częsty, nie podnosiły zajęć rolniczych, a opustoszenie ziemi zmuszało do kolonizacyi obcymi; nie ujmuje to jednak ludowi naszemu znamion czysto rolniczych.

Od str. 90 do 108, dowodzi obszernie że „w istnienie „czystej i stałej polskiej rasy, to jest osobnego rodu „koni niewierzy.“ — Nie ma się o co spierać. Obszerna Polska z różnych części różnemi czasy, w jedno ciało polityczne zlana, nie mogła mieć i nie miała rodu konia z wspólnego gniazda wiedzionego. Arabia jedna, półwysep pustynny, z rzadka po wszystkie czasy zaludniony, najmniej najezdnikom powabny, a klimatem, zasadą wiary i sposobem życia mieszkańców, hodowli konia sprzyjający — Arabia jedna w całym świecie, miała i ma dotąd rasę konia w tak ściśle i ostro określonem znaczeniu.

Nierównie trafniej utrzymuje autor str. 89, Tom IIIci że „rasy koni nie tworzy pochodzenie z tego lub owego „kraju, od tych lub owych przodków, ale ją stanowią „te stałe przymioty, własności i kształty, które się przez „konia na zawsze przyswoić dały, i które ręką przy- „rody lub człowieka udzielone, przelewają się z poko- „lenia w pokolenie.“ Że był taki koń polski, zwłaszcza bojowy, dzielny, silny, rączy a wytrwały, sam autor w ciągu pracy swojej podnosi co chwila. Z położenia Polski wypadło jej niemal bez przerwy odcinać się osobliwie Tatarom, od wschodu i południa odpierała węc wiekami samych konnych najezdców, z potrzeby tedy przyrósł naród do konia. Sam autor poucza, że chów koni zasilano przeważnie krwią wschodnią, nabyciem w czasach pokoju, a mnogą zdobyczą w czasie wojny i że ostatecznie krew wschodnia przemogła. Trudy wojenne, harce bojowe zastępowały próbę siły i rączości (str. 85 Tom IIgi).

O stadzie królewskiem za Zygmunta Augusta mówi z uniesieniem: widzi w niem „dowód głębokiego i tra- „fnego spraw hipicznych pojęcia, które o całe sto lat „uprzedziło powstanie tych zasad, którym Anglia dziś „hipiczne swoje zawdzięcza powodzenie. Stado królew- „skie było jedyną na całym świecie w owe czasy insty- „tucyą, której zadaniem był chów czystej krwi arab- „skiej“ ...... „Dziś została jakaś tradycyjna aureola „sławy konia polskiego, on sam zaś przeszedł w poczet „mitycznych jestestw, o których rozgłos po świecie „pozostał.“

Pozostał-bo był, a był zasłużony, pokąd hart ducha narodu, pochylać się nie począł, a dawna prostota i dzielność nie ustąpiła miejsca zbytkowi, swawoli i przechwałce, co wkrótce po tej dobie, pod Korsuniem i w Czołhańskiej dolinie pierwsze sromotne upomnienie sobie zdobyło. W takiej dobie i chów konia podupadać musiał.

Znakomitsze stada polskie wylicza autor od str. 248 do 267 T. IIgi, i str. 140 T. IIIci, a zdaje się, że przed wydaniem tomu trzeciego przybyło mu materyału, bo przytacza, że w Chersońskiej gubernii w stadach Skarzyńskiego i Dąbrowskiego — w Podolskiej u Giżyckiego i Janiszewskiego, przechowuje się do dziś dnia „krew polskich koni; a w Miropolu (gub. Wołyńska) „stadko hr. Czapskich zawiera 60 matek dawnej pol- „skiej rasy“ (str. 140 i 141 T. IIIci). Chyba tedy była?

O koniu ang. nowszych czasów i hippicznych dzisiejszej Anglii zwyczajach, opowiada początek tomu IIIgo zwięzle, jasno i pouczająco. Czy jednak z przykładu Anglii, tak zwycięzko postawionego, zdobywamy właśnie zasadniczą, jedynie żywotną naukę, wątpić mi się godzi, bu patrzę na to, co się dzieje w około. Celt, Rzymianin, Anglo-Sasy, wreszcie Norman, hippikowali sobie po tej ziemi wyspiarskiej do woli; a przecież dopiero wiek ostatni zdobył tam sobie konia, którego dziś zachciewa się całemu światu.

Hippika państwa Rosyjskiego resztę tomu IIIgo zajmuje a wielce urozmaicona, bardzo do myślenia pobudza i uczy. Zwracam uwagę na ustępy o koniu Karabachskim, Czerkieskim i tak zwanym w Rosyi Zawodzkim.

W końcu zeszłego wieku poczyna się nowa doba w chowie konia w Rossyi. Aleksy hr. Orłow Czesmeński, miłośnik i wielki znawca, nabył dla stada swego 12cie arabskich ogierów. Z tych dwa szczególnie odznaczały się budową i siłą. Sułtan stał się głową słynnych dziś wierzchowców Orłowskich; Śmietanka głową rasy Orłowa rysaków. Przyczyn doskonałości tych zaś, mówi autor, nie tyle szukać należy „w tajemnicach krzyżowania, ile „w doskonałości dresury i w bezwyjątkowem jej udzie- „laniu wszystkim matkom i ojcom rodu.“

Od 1802 r. zakłada hr. Roztopczyn stado koni wierzchowych. Cztery oryginalne araby stają się ojcami rodu. Obadwa stada, a szczególnie Orłowskie uderzają zasłużonem powodzeniem i rozbudzają ogólne zajęcie się chowem konia. W r. 1845 zakupił rząd Orłowskie i Roztopczyńskie stada. Dziś gubernie Woronezka, Tambowska, Symbirska i Samarska, stały się siedliskami hodowli koni rasowych. Ośmdziesiąt stad hoduje same rysaki Orłowskie; sześćdziesiąt same wierzchowce Or-

łowa. Czystą krew angielską wylicza autor w sześciu stadach. Mosołow lat pięćdziesiąt poświęca niezłomnie hodowli koni angielskich. Napływ koni ang. do Rosyi, od końca wieku zeszłego był dwa razy liczniejszy, niż w reszcie Europy. Ogromne sumy wydano. Sprowadzono sześciu zwycięzców Derby, cztery Sait- Leger; sam Burbon kosztował 155.000 rsr.

„Jeżeli się jednak weźmie na uwagę ilość koni ang. „czystej krwi weszłych do Rosyi i ich doskonałość „pierwszego rzędu, to dziwić się należy, jak mało te „konie zostawiły po sobie śladów, i jak czasami naj- „słynniejsze Anglii ogiery, na rosyjskiej ziemi żadnego „powodzenia jako stadniki niemiały.“ (str. 229 T. IIIci). Autor usiłuje wyjaśnić, dla czego olbrzymie wysilenia w tej mierze zmarniały.

Ale rasy Orłowskich wierzchowych i Orłowskich rysaków pozostały cenną dla kraju po mężu pamiątką, Skądże tam zawód, tu powodzenie i zupełne zwycięstwo? Zdaje mi się, że potężny umysł Orłowa objął wszystkie rozliczne warunki należytego chowu koni, nauka i znawstwo wspierały zamiłowanie, a majątkowych nie zaznał trudności. Obok tego znał dobrze kraj i naród, zwyczaje, zamiłowania i potrzeby jego. Nie budował zamków na lodzie; ale w Rosyi i dla Rosyi postawił cel chowu konia wyraźny, do potrzeb miejscowych zastosowany. Postawił go jasno, wytrwale i znawczo szedł ku niemu do śmierci: Otóż nagrodą dwie rasy koni, dziś już uznaniem kraju tak upowszechnionych.

Przyzna autor, że koń ang. przy którym w całym ciągu pracy swojej tak bezwzględnie a uporczywie stoi, i wyścigi wielkiej rączości, bez których żadnego powodzenia nigdzie nie rokuje, nie mogą mieć same przez się w chowie konia znaczenia uniwersalnego lekarstwa i wcale go też nie mają. Nabywca nawet takich koni, jak zwycięzcy Derby i Saint- Leger, nie przewiezie wraz z niemi Anglii z jej właściwościami, i zmarnieją skarby i konie.

Przewoźmy na ląd stały naukę, wiadomości, zmysł praktyczny, zamiłowanie pracy, a zwłaszcza żelazną wytrwałość Anglo-saskiej rasy ludzi, bo to od nas zawisło. Postawmy cel chowu konia na znajomości potrzeb naszych oparty, pouczmy się hodowli, naturze konia odpowiedniej, a wychowanie stosujmy do celu. Dobierajmy znawczo podstawę, matki, a pamiętajmy, że Arab i Barbaryjczyk był jest i będzie jedyną krwią, podnoszącą dzielność przychowku na całej kuli ziemskiej; że koń pustyni nagina się wszędzie do warunków miejsca i potrzeb ludzi, jak się nagiął w Anglii, mimo klimatu i tak wygórowanych żądań angielskich.

Przychodzi mi nareszcie rozstać się z autorem, czynię to z wdzięcznością. To co w obszernej pracy jego cieniem mi się wydawało, nazwałem po imieniu otwarcie; a nie wadzi wyznać, że gdzie z nim wojować mi przyszło, ścierałem się nie moją, ale niemal zawsze własną jego bronią: pouczył mnie, wyznaję. Dzieło jego w ręku ziomków chowem konia zajętych, widzieć pragnę; a niech nikogo nie zraża, że twierdzenia swoje stawia zwykle za ostro, bo w dalszym ciągu wykładu sam treścią swoją nawraca nazad do miary.

L. S.

Nauki lekarskie.

Dr. J. Zielewicz: Z dziejów epidemij w dawnej Polsce. (Roczniki Tow. Przyj. Nauk Pozn. Sekcya Lek. Tom VIII, Poznań 1874, str. 1 — 17).

Tenże: Przyczynek do fizyologii i patologii ośrodków mózgowych. (Przegl. Lek. 1875. Nr. 3).

108] Rozprawka pięknie i potoczysto napisana przez jednego z młodych lekarzy naszych, który poprzednio dał się już poznać z kilku rozpraw, według napisu swego odnosi się do historyi medycyny, a w szczególności do chorób pospólnych w Polsce; ponieważ dotąd o tym przedmiocie mało co jest wiadomem, przystąpiliśmy z wielką ciekawością do czytania rozprawy tyle obiecującej.

Składa ona się z wstępu dość obszernego, z właściwego poglądu na choroby pospólne w Polsce, i z wyciągu z kroniki Panien Karmelitanek Bosych w Poznaniu, odnoszącego się do moru z r. 1709, a umieszczonego w dopisku.

Przegląd nasz rozpoczniemy od tego wyciągu, więc w kolei odwrotnej, a to z powodów zaraz wyłuszczyć się mających.

Z kroniki dowiadujemy się, że gdy dwie osoby w klasztorze padły ofiarą powietrza, siostry zakonne opuszczają klasztór udając się na wieś, gdzie gościnnie naprzód w stodole, a później we dworze umieszczone zostały. „A mieszkając tam, niedoszło tygodnia, umarła trzecia.‘ W skutek tego przeniesiono chore, a nawet o chorobę tylko podejrzane zakonnice do umyślnie wystawionej szopy w ogrodzie; tam była „każda bez ratunku ludzkiego; — i tam umarła czwarta siostra. Tej duszy musiały ręce zakonne służyć do pochowania jej, bo niemogliśmy znaleźć człowieka takiego, żeby nas w takim bolesnym razie poratował.“ Pochowały więc biedne zakonnice siostrę swoją „rąbiąc toporkiem ziemię w ogrodzie — zdziergnąwszy za nogę powróz żerdzią tak wlekli, aż w dół tak wpadło ciało, na co i zgroza pomyśleć. Omdlewaliśmy czyniąc to.“ Poczuwamy się do wdzięczności Drowi Z. za ogłoszenie tego wyciągu, bo służy on za ilustracyą owych pięknych dawnych czasów, które niektórzy stawiają na dowód bezbożnemu wiekowi naszemu. Ale niepojmujemy, jak autor mógł właśnie ten wyciąg przytoczyć za zbiór twierdzenia swego, iż „zapowietrzonych odosobniano, wyprowadzając ich za miasto, i tam w osobnych szopach — jakoby w dzisiejszych szpitalach barakowych kosztem publicznym żywiono i pielęgnowano.“ Jeżeli to nie jest ironią, to zaprawdę potrzeba wielkiej fantazyi, aby w owych stodołach, szopach i budach upatrywać podobieństwo do dzisiejszych szałasów, i aby takie obchodzenie się z chorymi i zmarłymi nazywać pielęgnowaniem. Nam przeciwnie przypomina się El Arisch i Ojciec zadżumionych.

Z tem wszystkiem część ta ostatnia jest najciekawsza, gdyż właściwy krótki pogląd historyczny na choroby pospólne w Polsce umieszczonym został, jak się zdaje, tylko w tym celu, aby krótkiemu wyciągowi z kroniki nadać formę i większe nieco ramy rozprawki. Powiadamy umyślnie: umieszczony, a nie napisany, gdyż pogląd ten w większej części powtórzony został z rozprawki tegoż autora ogłoszonej w r. 1872 w Przegl. Lek. (Nr. 43). Szkic ten nie wzbogaca szczupłej wiedzy naszej o chorobach pospólnych w Polsce ani jednym faktem lub drobnym szczegółem, a niektóre twierdzenia

autora są poprostu mylnemi. Pomijając już owo twierdzenie co do pielęgnowania zapowietrzonych — bo i w innych krajach nie było lepiej — a które zresztą autor sam najlepiej zbija przytaczając, że „publiczną służbę zdrowia składali grabarze,“ pytamy się, na czem opiera stanowcze zdanie swoje, iż „pośmiertne oględziny ciał ściśle były praktykowane“? Miałżeby rozumieć przez to praktykowanie pośmiertnych oględzin wykonywanie sekcyj? Wszakże jeszcze na początku bieżącego stulecia prof. Anatomii w Krakowie przystępując do sekcyj musiał wezwać siły zbrojnej, aby zabezpieczyć się przed napaścią pospólstwa. Zresztą gdyby sekcye były wykonywane, to zapewne nie rozpoczętoby od zwłok ludzi zmarłych z powietrza, lecz raczej od zwłok osób zmarłych śmiercią gwałtowną, a w takim razie pozostałyby jakieś ślady o sekcyach sądowych, których niestety nie mamy. A któż miał ściśle praktykować oględziny ciał, skoro publiczną służbę zdrowia składali grabarze?

Na dowód, że w wiekach średnich istniały władze policyjno-lekarskie, autor nie umie nic więcej przytoczyć, jak instytucyą dozorców sanitarnych w Wenecyi. A jednak nierównie ważniejszemi dowodami są przepisy króla obojej Sycylii Rogera, a przedewszystkiem wyborne ustawy zdrowotne Cesarza rzymsko-niemieckiego Fryderyka II. z r. 1224. Autor twierdzi, że podobną weneckiej instytucyą znajdujemy w Polsce, ale w 300 lat później, bo za czasów Zygmunta III, odwołuje się w tej mierze do dokumentu, w którym król ten mianuje Wacława Drożyńskiego inspektorem zdrowia w Krakowie, celem doglądania, aby powietrze morowe się nie wznowiło, — i twierdzi, że „mamy tu już władzę policyjno-lekarską urzędującą stale na podobieństwo dzisiejszych komisyj sanitarnych.“ Ależ mianowanie nielekarza inspektorem zdrowia bez dodania mu nawet doradzcy lekarskiego niemoże uchodzić za ustanowienie władzy policyjno-lekarskiej, lecz co najwięcej policyjnej. Gdyby autor był zajrzał do rozprawki Al. Wejnerta (Wiadomość histor. statyst. o morowem powietrzu w Warszawie w r. 1624 i 25 panującem, Warszawa 1852), byłby nabrał przekonania, że nie inaczej się działo w samej stolicy za tegoż króla, gdyż i tam wójt Łukasz Drewno mianowany wprawdzie został burmistrzem powietrznym, a miał dodanych sobie dwóch radzców, szafarza, księdza, kucharza, strażników, kopaczów i tragarzy, drążników i kajdaników, ale niemiał dodanego sobie lekarza. Historya powinna być jeżeli nie światłem, to przynajmniej zwierciadłem prawdy, a historyk powodujący się przeważnie uczuciem choć najszlachetniejszem, staje się podobnym do malarza, który stwarza obraz piękny ale nie wierny.

Część ostatnia, a względnie pierwsza rozprawy, czyli wstęp, stanowi sam dla siebie piękną rozprawkę, której nic niemielibyśmy do zarzucenia, gdyby ją autor osobno był ogłosił pod napisem „o granicach badania przyrodniczego,“ a zatem mniej więcej pod tytułem, jaki prof. Dubois — Reymond nadał swemu wykładowi, mianemu przed 3ma laty na zgromadzeniu lekarzy i przyrodników niem. w Lipsku. Niewidzimy tylko potrzeby odwoływania się do poetów i niepoetów, skoro autor sąd fizyologa berlińskiego uważa za najkompetentniejszy i na wnioski jego w zupełności się zgadza. W jakim zaś związku pozostaje traktat ten cały z kroniką PP. Karmelitanek Bosych, a nawet z dziejami chorób pospólnych w Polsce, których autor wcale nie rozjaśnia, tego odgadnąć nie zdołaliśmy, pomimo że nas autor zapewnia, że „lekarz historyk z tego stanowiska zapatrujący się na dzieje epidemij będzie pobłażliwym w sądzeniu epoki; bo nie sama empirya lekarska, lub transscendentalizm filozoficzny, lecz czysta synteza antropologiczna stanie mu za przewodniczkę.“ Czyż kiedykolwiek do ogłoszenia wyciągu z kroniki potrzebowano takiego przewodnika lub takiej przewodniczki, i czy posługiwano się takim aparatem słów, frazesów i cytat! Mamyż przypuścić, że uczony ten traktat o granicach badania przyrodniczego pierwotnie miał inne przeznaczenie, a w ostatniej chwili dopiero niefortunnie przyczepiony został do dziejów epidemij w Polsce? W takim razie szkoda, że desinit in piscem mulier formosa superne.

L. B.

109] Dr. Z. przedstawił na walnem zebraniu sekcyi lek. Tow. przyj. nauk pozn. psa, który spadłszy przed rokiem na łeb z drugiego piętra, okazuje obecnie bardzo wybitne ruchy kołowe (Reitbahnbewegungen, mouvement de manège), tłumacząc zarazem powstawanie tych zwrotów jako wynikające z nadwerężenia półkul mózgowych. Ze stanowiska teoretycznego tłumaczeniu Dra Z. nic zarzucić nie można, a czy ono było uzasadnione, wykaże nekroskopia.

Dr. Z. podnosi jednak ten wypadek jako uwagi godny jeszcze i z innéj przyczyny, mianowicie jako jedyny znany mu z dziedziny patologii, twierdząc, że podobnego przypadku w przystępnej literaturze odszukać nie mógł.

Zwracamy jego uwagę, że Funke w książce swojej („Lehrbuch der Physiologie“ Leipzig 1858, tom II, str. 491 i 492) przytacza podobny przypadek z obserwacyi Serresa (Anat. compar. du cerveau etc. Paris 1824), a i Brücke w swojéj fizyologii (t. II, str. 59) wspomina także o podobnych przypadkach patologicznych na ludziach dostrzeganych.

Tak więc przypadek okazany i objaśniony przez Dra Z. z pewnością nie jest pierwszym i jedynym, a sądzimy że przeglądnąwszy dokładnie literaturę chorób nerwowych, możeby się i więcej spostrzeżeń podobnych napotkać udało. *J. Z.*

Językoznawstwo i historya literatury.

П. Стремлеръ: Фонетика Кашубскаго Языка. Изелѣдованіе (P. Stremler: Fonetyka języka kaszubskiego, studyum). Przedruk Филологическія Записки. Woroneż 1874.

110] Książka niniejsza jest pierwszem systematycznem opracowaniem dźwięków mowy Kaszubów, stanowiących jedyną dotąd żyjącą spuściznę wielkiej niegdyś Rodziny Zachodnio-Lechickiej czyli Połabsko-Baltyckiej. Autor, o ile wnosić można z niektórych zwrotów językowych, rodak nasz, analizuje naprzód samogłoski (str. 4—36), a następnie spółgłoski (str. 37—57); wkońcu zaś dołącza słowniczek wyrazów, jakoby nieużywanych w języku polskim.

W uporządkowaniu materyału nie przyjął autor jednej zasady podziału, i raz bierze za podstawę dźwięki dane w narzeczu kaszubskiem bez względu na ich pochodzenie, to znowu, jak przy jerach i ě (ѣ), rezpoczyna od form starosłowiańskich. Wykazując odpowiedniości fonetyczne, autor uwzględnia języki polski, rosyjski i starosłowiański; przemilcza zaś zupełnie o ję-

zyku połabskim, tak znakomicie opracowanym w pośmiertnem dziele A. Schleichera. To nieuwzględnienie narzecza najbliższego kaszubskiemu sprawiło, że w pracy pana S. pominiętą zupełnie została bardzo ważna sprawa wzajemnego stosunku i stopnia pokrewieństwa między językami rodziny lechickiej czyli połabsko-polskiej.

Autor widocznie hołduje materyalistycznemu poglądowi na rozwój języka i nie uwzględnia wcale czynników psychicznych, między którymi najważniejszą rolę odgrywa tak zwana analogia, lecz mechanicznie odkrywa odpowiedniości dźwięków w formach, które powstały różnemi drogami i nie mają z sobą nic wspólnego, jak np. (str. 28) w dativ. sg. na -owu, -ewu, w objaśnieniu formy wowcmi zam. wowcami, spójn. le zam. ale (str. 4); form imiesł. cz. przeszłego r. ż. wsta, chca zam. wstała, chciała (str. 55) itp. Również niewłaściwie objaśnia autor formy genit. sg. przymiotników na -ewo: złewo, trzecewo, naszewo, obok złego, trzecego, naszego, czysto fonetyczną przemianą *g* na *w*; gdyż na powstanie tych form, równie jak w języku rosyjskim, wpływały czynniki czysto psychicznej natury, mianowicie analogia przymiotników dzierżawczych na -ow, -ew.

Na str. 6—12 autor traktuje *á* pochylone, które niesłusznie z ks. Malinowskim nazywa wielkopolskiem, gdyż ono żyje w ustach ludu wiejskiego nietylko w Wielkopolsce, ale na całym naszym obszarze etnograficznym. Tu niektóre uwagi:

Str. 10—11. Objaśnienie form nástarszy, nálepszy z nadstarszy, nadlepszy nie ma podstawy, gdyż w przyimkach na i za *a* pochyla się nietylko w tych formach, ale we wszystkich złożeniach, lecz tylko z tematami imiennemi, ze słowami zaś pozostaje otwarte. Prawdopodobnie długość, a następnie pochylenie samogłoski powstały tu pod wpływem akcentu pierwotnego, który enklitycznie przeniósł się na pierwszą sylabę wyrazu złożonego.

Str. 8. Formę: jimienia z końcowem *a* otwartem autor zalicza do wyjątków — niesłusznie, gdyż tu *a* nie powstało ze ściągnięcia, jak np. w wyr. jedzeniá.

Str. 30—34. Samogłoski nosowe. I tu brak również jednej zasady podziału. Autor (str. 33) nie odróżnił samogł. nos. pierwotnych tj. wspólnych językom lechickim ze starosłow., od pochodnych, które u Kaszubów i w niektórych innych okolicach, jak na Szląsku, rozwinęły się w czasie stosunkowo niedawnym z samogłosek czystych i spółgł. nos. *m* i *n*, np. niebę zamiast niebem; nie odróżnił samogł. nos. w sylabach twardych i miękkich; samogłosek nos. otwartych i pochylonych itd.

Z wyrazów, podanych w słowniku, nie wszystkich brak w polskiem. Dosyć tu przytoczyć wyrazy jak: kasz. nanza pol. nędza, k. parparć p. paproć, k. pawnie i pełnie p. południe, k. pankierz p. pęcherz, k. moko p. mleko, k. strzeni p. średni, i t. w. Różnią się one fonetycznie, lecz leksykalnie w obu językach są jedne i też same.

L. M.

Arystofanes: Rycerze, Komedya, grana 425 roku przed Chrystusem w Atenach. Przedstawiona w styczniu, r. 1873 na scenie krakowskiej w tłómaczeniu Józefa Szujskiego. Biblioteka Warszawska 1875 r. Zeszyt styczniowy, str. 46. 8vo.

111] Wśród wewnętrznego rozkładu, któremu uległa Grecya wkrótce po najświetniejszych swych czasach, błysnęły jeszcze gienialne umysły jakby powołane do tego, ażeby wzywać naród do porzucenia złej drogi. Głos ich już niewiele dopomógł, bo złe zanadto się już było zakorzeniło, ale w pomnikowych dziełach przetrwał dla potomności. Prawda, która z nich wytrysła tak jest głęboką i ogólnie ludzką, forma, którą dla nich obrano tak mistrzowską, że dziś po tylu latach, gdziekolwiek zdarza się podobne jak w dawnej Grecyi napotkać stosunki, można do nich zastosować płody greckiego ducha i wyobraźni, trudno jest coś lepszego wymyślić. Jednym z tych płodów uderzających siłą prawdy wewnętrznej i oryginalnością formy są komedye Arystofanesa. Choć mało dotychczas u nas znane, mają one jednak dla nas wielce żywotną doniosłość, bo społeczeństwo polskie w błędach swoich dziwnie jest do greckiego podobnem, choć mu w zaletach do tamtego daleko.

W Rycerzach Arystofanes występuje przeciw demagogii. Nie możemy tu podawać całej treści tej komedyi, pozna ją czytelnik z samego przekładu, który komentarzów nie potrzebuje. Trudno jest jednak nie podnieść głębokich spostrzeżeń, na jakich Arystofanes utwór ten osnuł. Opierając się na doświadczeniu zebranem z jednego greckiego społeczeństwa przedstawił może najwybitniej ze wszystkich pisarzy, do jakiego stopnia ciemna masa ludu zaufana i przekonana o swojej potędze da się jak słaba gałązka kierować człowiekowi obdarzonemu talentem, ale zasad przewrotnych i idzie za jego celami nie pomna, że ją to do własnej zguby prowadzi. Nieuczciwość takich przewodników ludu odsłonił poeta w całej nagości i smaga z nielitościwym dowcipem najgłówniejsze i najbardziej wpływowe osobistości podkopujące ówczesne Ateny. Doniosłość tę komedyi Arystofanesa dla naszego narodu uchwycił doskonale p. Szujski i do przekładu Rycerzów zabrał się nietylko z artystycznych, ale zarazem ze społeczno politycznych pobudek. Zyskało na tem niezmiernie tłómaczenie, bo nabrało owej gorącej werwy, którą się oryginał przedewszystkiem odznacza i przez którą wywiera niepospolite wrażenie.

Krytykę szczegółów utrudnił nam tłómacz, umieszczając na wstępie zastrzeżenie, że na zarzuty braku ścisłości przekładu z góry jest przygotowanym. W ocenie dzieła artystycznego trudno jednak na podobne zastrzeżenia uważać. Nieuniewinnilibyśmy naprzykład malarza, którýby pod obrazem umieścił zatrzeżenie, że na szczegóły kolorytu lub rysunku oryginału nie zważał, trudno też oceniać przekład komedyi inaczej, jak ze stanowiska bezwzględnego porównania go z oryginałem. Są wprawdzie w komedyi Arystofanesa rzeczy, których niepodobna ściśle w tłomaczeniu oddawać. I tak razi ona dziś niejednokrotnie rubasznością albo nieprzyzwoitością pojedynczych ustępów. Już to bowiem w ogóle mało w starożytności zważano na delikatniejsze uczucie kobiet, a w komedyi przedstawianej przed publicznością z samych mężczyzn złożoną wcale się zniem nierachowano. W tym razie niewahał się autor rzucić choćby najrubaszniejsze słowo zwłaszcza, że sama nawet uroczystość, podczas której komedye odgrywano, związana była z obrzędami niekryjącemi natury pod żadną zasłoną przyzwoitości. Słusznie więc pominął p. S. wszystko, co z tego względu w Rycerzach raziło. Wierszy z tego powodu opu-

szczonych naliczyliśmy około czterdziestu (288—98; 371—81; 397—410; 708—709; 886-89 i 963-64). Gdzieindziej (w wierszach 434; 721; 770 i 979) dostrzegliśmy zmiany, którym dla tego samego nic nie możemy zarzucić. Należało jednak w dopisku albo wszędzie na to opuszczenie i zmianę uwagę zwrócić, albo ograniczyć się do ogólnej wzmianki. Domieszczenie zaś uwagi tylko w trzech miejscach (w. 893, 916 i 963) może nieświadomego łatwo w błąd wprowadzić, że zresztą nigdzie już z tego samego powodu nic pominiętem nie jest. Trzebaby niemniej bardzo być wymagającym i niepojmować trudności dzieła, aby nie wybaczyć tłómaczowi swobody w przekładzie samego początku komedyi, dalej wierszy 262, gdzie jest mowa o Kleonie, że i z Cherzonezu zabierał ofiary; 382—85; 492—502; 571—75 o nieznanej nam sprawie Kleajneta, który tam jest wspomniany; 761; 847—57; 1049—85; 1171—74, za czem poszło opuszczenie wierszy 1175 i 1180; 1345—49 i 1168—70. Oprócz bowiem uwagi na przyzwoitość kierował tłómaczem słuszny wzgląd, że dowcip, który polegał na igraszce słów lub na potrąceniu faktów dziś ogółem nie znanych, oddany dosłownie w przekładzie niknie, a rzecz niepotrzebnie obciąża.

Gdzieindziej jednak nie widzimy istotnej przyczyny, którąby tłómacza spowodowała do odstąpienia od tekstu oryginału. Jest pewna liczba całkiem lub częściowo opuszczonych wierszy (17; 182—87; 282—83; 413—16; 467—70; 488—89; 595—610; 973—96; 1028—29; 1044; 1158 i 1382-86). Wątpić należy, aby w wielu z tych ustępów kierowała tłómaczem chęć skrócenia komedyi dla sceny, bo przecież opuszczenie ich mało stosónkowo mogło się do zmniejszenia rozmiarów sztuki przyczynić, a pozostawienie ich wcaleby widzów nieobrażało. Do pomyłek zapewne przez składacza popełnionych zaliczamy wymienienie „Demostenesa,“ jako mówiącej osoby zamiast nazwania ludu ateńskiego występującego pod imieniem „demos“ (str. 28—30 i 35-36); natomiast wiersze 319—21 przypisują słuszniej nowsi wydawcy idąc za Beerem chórowi, nie Demostenesowi, jak to tłómacz czyni; także wiersze 725-27 inaczej wydawcy rozdzielają między Kleona i masarza, niż to w tłómaczeniu czytamy. Niepotrzebnie podstawił tłómacz w w. 268 ucztę zamiast pomnika, a wiersze 790-91 można było dokładniej przełożyć; w w. 1172 jest mowa o zającu nie o baraninie. Nie możemy się zgodzić z zastrzeżeniem tłómacza, że pomija ustępy tautologiczne (ile wiemy są one w w. 480-81 i 823—42); byłby to zarzut uczyniony samemu Arystofanesowi sądzimy niesłuszny. Na sens wpływa zmiana w wierszu 624, bo zamiast: „warto opowiedzieć“ jest w tłómaczeniu: „ledwie warto wspomnieć.“ Opuszczenie kilku słów utrudniło niekiedy zrozumienie myśli, a przynajmniej sprowadziło jej przerwanie np. na str. 35 w w. 669, gdzie słowa Kleona luźnie do reszty przyczepiono, albo na str. 46 w. 1343-44.

Zarzuty te podnosimy tem bardziej, że p. S. dowiódł całem tłómaczeniem, iż usterki, jakie w niem pozostały, zdolen był postawiwszy sobie możliwą ścisłość przekładu za zadanie, w zupełności usunąć i dać przekład ścisły a niemniej wzorowy. Usterki te nie psują w ogóle dobrego wrażenia, jakie przekład p. S. pozostawia na czytelniku. Siła wyrażenia, udatne naśladowanie dowcipnych zwrotów, żywość w prowadzeniu rozmowy, nareszcie i ton uroczysty w miejscach poważnie nastrojonych świadczą, że pracy tej podjął się pisarz nietylko dobrze władający językiem polskim, ale także poeta, który z natchnieniem w takich razach nieodzownem zdołał zwyciężyć znaczne trudności. Niemało przyczynił się do wdzięku przekładu wiersz rymowany jedenastozgłoskowy, którym tłómacz zastąpił głównie trymeter jambiczny grecki. W oryginale znachodzą się nadto różne rodzaje wierszy, ale tłómacz nie wszystkie przejścia metrów uwzględnił. Rozmaite wiersze greckie przed pierwszą parabazą oddał już to ośmio, już dziewięcio, dwunasto lub szesnasto zgłoskowym, parabazę bardzo dobrze przełożył 16zgłoskowym, chociaż w oryginale nie cała jednym wierszem jest przeprowadzona. Następnie do wiersza 1110 idą jedenastozgłoskowe; glykoneje zaś z ferekratejami od w. 1111—1150 oddał dziewięciozgłoskowym, nareszcie zostawił aż do końca jedenastozgłoskowy, z małą zmianą w drugiej parabazie t. j. od w. 1265—1315. Nie taimy wcale, że wolelibyśmy więcej uwzględnienia metryki widzieć w tłómaczeniu, jednak jest to rzecz formalna, do której nie należy zbyt wielkiego przywiązywać znaczenia.

L. K.

Poezye i powieści.

Tom. Teod. Jeż: Ofiary, powieść w dwóch tomach (odbitka z Wieku). Warszawa 1874. 8vo.

112] Powieści Jeża jedne obracają się około życia południowych Słowian, inne znów rozwijają się na tle naszych stosunków społecznych. Te ostatnie są zwykle energicznemi satyrami, z bardzo wyraźną tendencyą; w nich Jeż okazuje się jako realista malujący życie w rysach dotykalnych z humorem naturalnym, często do homerycznego pobudzającym śmiechu, niewykwintnym może w toku opowiadania, ale bynajmniej nie zaniedbanym, a zawsze zajmującym. Przy tych zaletach Jeż okazuje wielki pociąg do karykatur, które rysuje wprawdzie znakomicie, ale wkracza nieraz na grunt nieprawdopodobieństwa, a często wyciąga prawdę, lubo na gorącym uczynku schwytaną, ale wstrętną, z ujmą estetyczności,

Powieść Ofiary zawadzając o przeszłość, ostrzem swéj satyry godzi w teraźniejszość, choć stosunki w niej opisywane dziś już z taką szorstkością nie stają naprzeciwko siebie. W Ofiarach widzimy trzy światy: arystokratów: podupadłych na mieniu i znaczeniu, dwóch książąt Gamajdów, strupieszałych idyotów ze śmieszną powagą łachmany rodowéj świetności noszących; średnią szlachtę, dobrą cieszącą się fortunką, ale pożądliwie na wielkie rodowe imię poglądającą; nakoniec niższą szlachtę na granicy z nieherbownem chłopstwem stojącą, od przedstawicieli której ojca i syna Mędzińskich rozpoczyna się powieść. Między temi światami przesądy nieprzebytą wykopały przepaść, ale materyalny interes zmusza do zarzucenia mostu nad przepaścią. Ruina majątkowa skłania książąt Gamajdów do zrobienia ofiary w kształcie związku z bogatym, ale nie świecącym blaskiem imienia domem Podkomorstwa; ci znowu robią ofiarę, wydając młodą, pełną życia i marzeń panienkę za idyotę i nędzarza; nakoniec ta ostatnia rojenia swojego serca za mitrę z niewielkim oporem przynosi w ofierze. Ofiarą jest także, iż Podkomorzy, obiecawszy pamiętać o młodym Mędzińskim, wspaniałomyślnie przyjmuje go do

grona swoich lokajów. Liczba ofiar a z niemi i powieści intryga mnoży się z łaski niespodzianego obrotu losu, przez który Mędziński, wypędzony ze służby, wygrawszy na loteryi, staje obok tych co niegdyś na niedosięgłej względem niego stali wysokości, a w końcu z dziwną dla czytelnika niespodzianką owdowiała i zrujnowana księżna ofiaruje swą rękę byłemu lokajowi, który teraz staje się prawdziwą nowéj swéj rodziny ofiarą. Jednem słowem w powieści naszej nagromadził Jeż mnóstwo zwykłych i niezwykłych przykładów obłudy, polegającej na zakrywaniu nazwą ofiary najbrudniejszego nieraz egoizmu, zastawiania się tarczą tego wyrazu tam, gdzie samolubstwo lub niedorzeczność aż nadto rażą patrzących z boku ludzi. Chorobliwe te objawy społeczne Jeż traktuje jużto ze wzgardliwem szyderstwem, już chłoszcze satyrą, niekiedy naigrawa się bez litości, — stosownie do wagi przedmiotu. W zapędzie swym ulega pociągowi swemu do karykatury, jak to widzimy w postaciach książąt Gamajdów, którzy, odrzuciwszy ich niesmaczne nazwisko, przypominające komedye z przeszłego wieku, są zawsze jednak zręcznie, choć może przesadnie zarysowani. W kilku miejscach autor występuje z całą grozą moralisty, przypominającą Dikensa, jak n. p. w opowiadaniu skreślonem z przerażającą prawdą o dwu robotnikach, żydzie i żołnierzu, dla których wygrana na loteryi zgubą się stała. Stosunki i charaktery w powieści występujące, wprawdzie niejednokrotnie już za kanwę powieściową służyły, ale talent autora potrafił wiele nowych, a przynajmniéj niezużytych stron na jaw wydobyć i z właściwą sobie oryginalnością odcieniować, dlatego Ofiary czytelników przypomnieniem znanych rzeczy nie rażą. Oprócz ciekawéj intrygi wiele jeszcze podnosi zajęcie koloryt swojski, naturalny dowcip, oraz żywość opowiadania, które Jeż roztacza szeroko i w ten sam szeroki sposób prawie do ostatniej prowadzi karty, podtrzymując ciekawość zręcznemi niespodziankami. Wszelako dorzuciwszy jeszcze jednę, może najjaskrawszą ofiarę, połączywszy księżnę z Mędzińskim, autor urywa powieść, chociaż intryga jeszcze wyczerpniętą nie była i nowych się kazała spodziewać zwrotów.

Błędów językowych w Ofiarach znajdujemy wiele, które przy druku należało koniecznie usunąć.

B. G.

Paulina Wilkońska: Powołanie. Powieść. Dwa tomy w jednym. Lwów 1874. str. 388. 8vo.

113] Z obawy aby nie popaść w błąd, którym odznacza się powyższa powieść, musimy dać o niej krótkie sprawozdanie.

Felicya, młoda piękna i wykształcona panna, mieszka na wsi u swojej ciotki, która chce ją najprędzej wydać za mąż, z obawy aby się pannie nieprzykrzyło życie na łasce, a co gorsza, aby nie została guwernantką, gdyż ubliżałoby to szlacheckiej dumie ciotki. Swaty nie udają się, jednak. — Tymczasem Stefan Witosławski, daleki kuzyn Felicyi, dla którego cała rodzina obmyśla świetną partyę, rozkochał się w Felicyi, a Felicya w nim. Zrazu stawia sobie młoda para dobrowolnie przeszkody, Felicya nawet myśli o wstąpieniu do klasztoru; ale wszystko dobrze się kończy; młoda para przysięga dozgonną wierność u stóp ołtarza, i żyje szczęśliwie.

Oto treść powieści o 388 stronnicach. Czemże więc zapełniona zresztą ta powieść? Rozmowami mnóstwa osób, dla których obmyślała autorka najstaranniej imię i nazwisko, a które po to tylko tu występują, aby jeść, tańczyć i żenić się, nie łącząc w niczem swych losów z losem bohaterów powieści. Rozmowy te wypełniają całą powieść, ale żadna z nich nie posuwa ani o krok akcyi, i nie dziw, gdyż takie akcye nie potrzebują komentarzy, ani ręki którąby je prowadziła. Czytelnik obezna się tu i owdzie z niektóremu strojami damskiemi, poweźmie wyobrażenie o mnóstwie słów francuzkich, włoskich, angielskich a nawet i łacińskich, jeżeli ich przedtem nieznał, przyjdzie nakoniec do przekonania, że autorka temi językami musi władać, czy jednak sama powieść sprawi mu zadowolnienie, o tem wątpimy. Zapyta czytelnik, czem autorka usprawiedliwia tutuł powieści? Trudna odpowiedź, bo trudno przypuścić, aby autorka chciała udowodnić, że jedyną pobudką do zerwania ze światem, i zamknięcia się w murach klasztornych, jest groza staropanieństwa lub miłość bezwzajemna. *..li.*

Ruch naukowy w Akademii Umiejętności.

Najgłówniejszem, najdalej sięgającem zadaniem naszej Akademii umiejętności jest wydawnictwo źródeł historyi i prawa. Po kilkudziesięciu, po kilkunastu może latach rozprawy naukowe umieszczane w jej publikacyach wydadzą się przestarzałemi, ale książka zawierająca historyczne źródła będzie w obiegu w całym naukowym świecie. Słyszeliśmy głosy odzywające się z zarzutem, dlaczego komissya historyczna nie przedsieweźmie napisać historyi polskiej, w ten sposób, aby każdy z jej członków pewien okres lub panowanie jednego króla obrobił. Chcąc jednak ten zarzut odeprzeć, potrzeba tylko wskazać na historyę polską napisaną zbiorową pracą b. Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie a w szczególności Albertrandego, Gołembiowskiego, Niemcewicza, Krajewskiego. Czyż historya ta przedstawiła nam przeszłość naszą prawdziwie, czy przyniosła narodowi zdrowy pokarm duchowy, czy usunęła przesadę? Tego niemożemy powiedzieć. Historyografowie zaś b. Towarzystwa naukowego niespełnili zadania swego dla braku krytycznie opracowanych historycznych źródeł. Przez ich prace i mimo ich prac pokryła nas nawała mrzonek historyozoficznych, które zrazu budzą poklask, o ile schlebiają próżności narodowej i politycznym chwilowym dążeniom, ale wkrótce sprowadzają czczość wewnętrzną i niesmak. Mając taki przykład przed sobą, komissya hist. Ak. um. niemoże go naśladować, ale przeciwnie musi zeń czerpać naukę. Może nieprędko zdarzy się tak sposobna jak dzisiaj chwila, może niedługo archiwa nasze stać jeszcze będą w całości, może niedługo potrwa to skupienie ducha naszego wewnętrzne, do którego po tylu dotkliwych doświadczeniach zdajemy się zbliżać. Korzystajmy więc z chwili i rzucajmy w świat rokrocznie jak największą liczbę pomników naszej przeszłości gruntownie opracowanych chroniąc je od zagłady, wydobywajmy na jaw jak największą ilość danych, w które dotychczasowa historya jest tak przestraszająco uboga, kładźmy podwaliny dla przyszłej naszej trzeźwej prawdziwej historyi, zwracajmy przedewszystkiem uwagę na historyę naszą wewnętrzną bo ta najwięcej jest potrzebną i pouczającą. Oto zadanie, które sobie komissya historyczna stawiła, około którego się jej człon-

kowie skupili. Widomym owocem dotychczasowej jej pracy są już: Dyaryusze sejmów z r. 1548 i 1570, które wzięte razem z innemi dyaryuszami wywracają z gruntu pojęcie nasze dotychczasowe o czasach Zygmunta Augusta i stawiają nam przed oczy obraz gwałtownej, około najwyższych zagadnień obracającej się walki wewnętrznej, na którą niemogliśmy nawet przypuszczać, żeby się społeczeństwo nasze zdobyło. Dalej: kronika Wapowskiego z czasów Jana Olbrachta i Alexandra. Dalej: dyplomataryusz kapituły katedralnej krakowskiej, dzieło pomnikowe rzucające ogromne światło na wszystkie stosunki jednej z najważniejszych naszych kościelnych dzielnic. Dalej: t. z. Statut Taszyckiego czyli korrektura ustaw z r. 1532, która na wieczne czasy będzie chlubą naszego prawa i naszej kodyfikacyi. Wreszcie wydrukowane już dyaryusze Medekszy z XVIIgo wieku. Jestto zapewne na tak krótki czas istnienia komissyi historycznej niemało, nie daje jednak wyobrażenia o pracach komissyi w ciągu tego czasu już dokonanych a jeszcze nieogłoszonych. Wymieniamy przedewszystkiem prace skończone. Otoż gotowemi są pracą Drów Szujskiego i Sokołowskiego akta historyczne od r. 1386—1505, które zajmą co najmniej cztery do pięciu tomów po 50 arkuszów ścisłego druku, a na całą tę epokę dotychczas z Długosza w części tylko i jednostronnie znaną rzucą ogromne światło. Gotowym jest zbiór uchwał czyli t. z. laudów województwa krakowskiego, o którego ważności mówić niepotrzebujemy. Prof. Heyzmann opracował zbiór ustaw synodalnych dyecezyi krakowskiej do końca XVgo wieku, które wraz z statutami Trąby jako dalszy ciąg starodawnych prawa polskiego pomników wydane być mają i więcej zapewne dla historyi kościoła naszego przyniosą pożytku niż wszystkie na polu kościelno-historyczoficznem wyśrubowane spory. Dr. Bobrzyński przygotował do druku zbiór ustaw i przywilejów oraz wyroków sądu wyższego prawa magdeburskiego w Krakowie, materyał pierwszorzędnej wagi pod względem prawniczym i etnograficznym, przedstawiający walkę społeczną, jaka się w XIVtem i XVtem stuleciu stoczyła między ludnością polską a ludnością napływową niemiecką. Na posiedzeniu z d. Lutego b. r. uchalono drukować jako dalszy tom Scriptores dyaryusze zjazdu z roku 1515 oraz wojny kokoszej z roku 1536, opracowane przez Drów Liskego i Kętrzyńskiego. Na posiedzeniu zaś z dnia 13 Marca Dr. Piekosiński udzielił komissyi przyjętą radośnie wiadomość, że ma już na ukończeniu imponujący swoją ważnością kodex dyplomatyczny małopolski z dokumentów dotąd niedrukowanych, sięgający od najdawniejszych czasów do r. 1400, który zajmie najmniej 100 arkuszy druku. Cóż dopiero wspominać o rozpoczętych i skrzętnie prowadzonych pracach około wydania aktów historycznych z czasów Zygmunta Augusta i z czasów Jana trzeciego, uchwał radzieckich krakowskich, a wreszcie ustaw, wilkierzów i przywilejów Krakowa!

W pracach tych otrzymuje komissya uprzedzającą pomoc ze strony wszystkich bibliotek rządowych i prywatnych, krajowych i zagranicznych, najważniesze księgi i dokumenta przysyłane jej bywają z najdoleglejszych stron na zawołanie, bo właściciele ich wiedzą, że ludzie, którzy znają się na wartości tych skarbów, potrafią najlepiej je zaszanować. Jeżeli zaś otwarły się przed komisyą nawet takie archiwa, do których przystęp przedtem pod karą klątwy był zagrożonym, to tem więcej spodziewać się należy, że otworzy się dla komissyi i w ogóle dla Akademii dłoń ludzi, którzy dochodów swoich dla dobra publicznego nigdy nie szczędzą, a niewiedzą może, gdzie najlepsze pole dla ofiarności ich się odkrywa. Dotychczas smutno powiedzieć, że akademia umiejętności stoi niemal tylko subwencyą rady państwa wiedeńskiej i sejmu galicyjskiego. Komissya historyczna ma 3000!! zł. rocznego dochodu, co jej zaledwie na wydanie jednego do dwóch większych dzieł pozwala...

Rozpisawszy się w ten sposób o komissyi historycznej, sprawozdanie o ruchu ogólnym akademii z miesiąca Marca zmuszeni jesteśmy do przyszłego numeru odłożyć.

W Krakowie d. 25 Marca 1875.

Spis nowych książek nadesłanych redakcyi.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzpltej polskiej z arch. t. zw. bernard. we Lwowie wskutek fundacyi Alex. hr. Stadnickiego wydane staraniem galic. wydziału krajow. (przez X. Liskiego). Tom V. Lwów, 1875. (str. VI i 293). 4o, 2 Złr. 50 cent.

Biblioteka ordynacyi Krasińskich. Muzeum Konstant. Świdzińskiego. T. I. Korespondencya Jana Karola Chodkiewicza, opracow. Wł. Chomentowski. Warszawa, druk. Jaworskiego, 1875. (str. nl. 3 i 103) 4o, 1 Rsr. 50 kop.

Hube, Romuald: Prawo polskie w wieku XIII. przedstawił i objaśnił.... (Biblioteka umiejętności prawnych, serya 1a). Warszawa druk Orgelbranda. 1875 (str. VII., 271 i VIII). 8o.

Hube, Romuald: Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV, wydał i objaśnił.... Warszawa. Gebethner 1875. (Przedruk z Biblioteki Warszaw.) str. 28. 8o.

Laskownicki, Józef: Najdroższy skarb, powieść dla ludu. Poznań. Leitgeber 1875. str. 128. 16o.

Libelt, Karol. Filozofia i Krytyka. Tom V. Estetyka czyli Umnictwo piękne. Część pierwsza. 2 wyd. Poznań. Żupański, (str. 323). 8o. 1875.

Limanowski Bolesław: Socyjologia Augusta Comte'a. Lwów. druk Dobrzańskiego i Gromana 1875 8o str. 156.

Malinowski Lucyan: Modlitwy Wacława zabytek języka polskiego z wieku XV. odkryty i skopiowany przez śp. A. hr. Przezdzieckiego (Odbitka z Pam. Akad. Um.) w Krakowie 1875. Str. 104 in 4o.

Pamiętniki z 18go wieku. T. XV. Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma, posła Szwedzk. w Polsce w czasie sejmu 4letniego później kanclerza państwa; przełożył J. I. Kraszewski. Poznań, Żupański. 1875. (str. XXX. i 257. z portretem autora) 8o 2 Tal. (6 marek).

Po dziesięciu latach. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. 1875. (str. 74). 8o.

Przybylski, Zygmunt: Poświęcenie, dramat. Kraków. 1875 str. 59. 16o.

Sprawozdanie c. k. Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich w latach szkol. 1872 do 1874. Lwów, w druk. Rogoszd. 4o (str. 41).

Wajgiel, Leopold: Szkodniki naszych pól, ogrodów i lasów, sprzętów domowych i t. d., ze szczególnem uwzględnieniem szkodliwych owadów. Lwów. Seyfarth i Czaykowski. 1875 (str. VIII i 172 z 8 tabl. kolor.) 8o.

Sprostowanie: w Nrze 5. str. 139 w. 24 od góry zam: nowe czyt: swoje.
Str. 140. w. 19. od dołu zam: dziesiąty czyt: dziewiąty.

PP Autorowie i nakładcy, życzący sobie, aby o ich publikacyach podaną została natychmiast wiadomość bibliograficzna a później w najbliższym czasie krytyczna ich ocena, zechcą takowe nadsyłać do Redakcyi zaraz po ich ogłoszeniu.

Wydawca: Adolf Otremba, księgarz. Druk W. Korneckiego. Odpowiedzialny redaktor: Prof. W. Zakrzewski.